





## WIATR W WISŁOUJŚCIU

(FRAGMENTY)

O czym tu myśleć! Patrę, jak u stóp mych płynie  
wieczornymi blaskami rzeka śpiewająca  
i złotą nutą fala za falą mnie trąca  
jak łódź drżącą przy brzegu w muzycznej wiklinie.

Już w wodzie nie odbija się szyldwach na warcie —  
biały mur wisłoujskiej, zburzony dziś baszty —  
tylko brzeg Westerplatte sosen wznosi maszły  
jak okręt, co nie zginął, choć walczył uparcie.

Drżą nadbrzeżne wikliny, mknie za falą fala  
i wplątuje myśl moją w piosenkę swą. I patrę,  
jak rzeką po wieczoru płonącym kilwatrze  
coraz bardziej się czółno samotne oddala.

\*

Tam w dali gaśnie zorza nad zburzonym Gdańskiem,  
czernią się na niej dźwigi, maszły, wyrotnice,  
a wieczór płynie w łodzi rybakim pogańskim  
i z rzeki wydobywa mrok niby kotwicę.

Pochyla się przegięty ponad smugą prądu,  
co z każdą chwilą coraz to bardziej ciemnieje  
i wsłuchuje się ciszą w idącą od strądu  
przez fale i wikliny ostrą morską wieję.

\*

Kiedy rozdzwonisz wieże gdańskiej Panny Marii,  
gdy zagra Katarzyna, Jan, Trójca, Mikołaj,  
jak guślarz przy Łańcarni w porcie mi wywołaj  
zygmuntowskie okręty — huł morskiej husarii.

O, czarujesz! I słyszę szumiące twe gusta  
i wstępuję na pokład cieniem Admirała...  
— W dali mew stadem szwedzka flota zabielała  
przez struny lutni twojej — want szorstkie powróła.

A górą płyną dzwony, śpiewne gdańskie dzwony,  
szumne bander proporce i żaglowe skrzydła  
i okręty — jak konie — rwą kotwic wędzidła  
i drżą... Trwa tylko Dykman w morską dal wpatrzony.

Lecz ja wantowej lutni twojej nie rozdzwonię  
zmierzchłym tryumfem floty, którąś gustem przygnał,  
i gdy Admirał każe ostatni dać sygnał:  
„Na Oliwę!” — ze wstydem twarz ukryję w dłonie.

\*

Nie mówcie z dumą imion Mureya, Dykmana,  
nie głuszcie głosu sumień salwami Oliwy,  
frzeba wreszcie w twarz spojrzec historii prawdziwej,  
co hańbą piersi pali nam jak krwawa rana!

Sejm radzi. Dymią w sali podgolone czuby.  
Mrok splywa w oczy ślepe, choć świece się pała.  
Inne oto nas morze porywa traw falą  
i niesie na porohy dniewowe do zguby.

Na nic, bracia, nam morze, gdy się pilnie orzeł  
Obcy na morskim progu za złoła krew leje...

\*

I rozpocząłem pracę poznawania tej ziemi  
i jej ludu. Nabyłem mapę najdoskonalszą,  
aparat fotograficzny i systematycznie po-  
woli, co rok, koleją, kołmi, rowerem, łó-  
dzą, pieszo poznawałem wszystko, co mi  
wybrzeże ukazywało, wszystko złączone  
z morzem.

A więc gburów na roli pod Kossakowem  
czy Wielką Wsią z widokami na morze; ry-  
baków to przy sieciach to w łodzi, w Re-

wie, Jastarni, Karwi; łany zboża pod Oblu-  
żem, pola ziemniaków pod Sławoszyńcem,  
sosny na Helu, brzozy w dolinie Smętka  
wśród redłowskich wzgórz, buki na zam-  
kowej górze, nad Żarnowieckim jeziorem  
i przy Rozewiu, łęgi i łąki przy Redzie,  
piaski przy ujściu Piaśnicy, krze rokitnika  
pod Jastrzębią Górą, mikołajki przy Babim  
Dole, pola bratków polnych na Rozewiu.  
A wszystko w pobliżu morza. Na jego tle  
widziałem w Osłonimie stadnię koni, w Re-  
wie kozy przy pelzających falach, pod  
Rzucewin stado owiec na pastwisku, pod  
Redłowem krowy pijące wodę — z morza.  
Krajobraz utrwalał się w oczach, prześlą-  
dował i budził coraz żywszą miłość. A by-  
ło wybrzeże w swoim osamotnieniu — prze-  
śliczne!

Fotografii z wybrzeża zebrałem prawie  
180. Postarałem się też o wydanie szesnastu

Noc czarna wisowała żegiel na swe reje  
i nadpływa ostatnie pogasiwszy zorze.

\*

A potem na brzeg ciemnej wybiegały rzeki  
tylko sosny — wylękle rybackie kobiety  
i za ich sporzeniami w horyzont daleki  
biegli zza krań białej wieży smutny wzrok poety.

Płyną fale. Przekwitły maki krwi na piasku,  
gdzie padł w zwycięskim szturmie podpułkownik Parys,  
tylko sosen ciemnawy trwał na brzegu zarys  
gestem rąk wyciągniętych ku godzinie brzasku.

Była noc. Stał poeta o krałę oparty  
i goniąc fale rzeki myślą niezawistą  
z słów prostych wiązał piosenkę pod rytm kroków warty:  
— o, co tak smutnie płyniesz szara moja Wiśto!

\*

Szarpią się przyczajone we wiklinach łódki,  
rozbiegają się kręgi przebudzonej wody...  
Zrozumiałem: to wrócił znów wiatr siwobrody,  
by nad rzeką popłynąć nutami pobudki.

Podnosi do ust mroczną rozchylnych nocą  
srebrny, jak Wyszymira bojowy róg, księżyc  
i już fale srebrzystą melodią migocą  
i płynie niemy rozkaz: Zbudzić się! Zwycięzcy!

\*

Zbudzić się! Tu trwa dotąd nieśmierfelny wrzesień,  
gwiazdami drżą zasięgle w rozprysku granaty  
i widzę: brzeg, jak okręt, chmurami skrzydłaly  
odbija po raz drugi w sławną polską jesień.

I widzę: flaga luny łopoce nad wami  
Załogo Westerplatte, której sen nie zmożył...  
Wasz okręt nie zostanie jak „Wicher”, „Grom”, „Orzeł”,  
nie zaleją go dzieje szarymi falami.

Twarze wasze bieleją w czarnym dymie  
i płoną w rękach waszych karabiny — wiosła...  
Przeze mnie rzeka płynie, co w Wielkość was niosła  
i krwią na wargach moich słynie wasze imię.

I płynie razem z wami przez cztery żywioły  
w siedmiodniowej, a przecież bez końca, żegludze  
i jak wy pytam wichru czy Nowy Dzień zbudzę,  
czy tylko się legendą rozsypię w popioły!

\*

Cisza. Podnoszę oczy. Świł niemą piosenką  
rozświeciła nuri, co cicho u mych stóp przepływa  
i rozblyska mi Wisły smuga polyskliwa  
jak srebrny miecz wzniesiony Karpai twardą ręką.

Poznaję: Ręka z mieczem na ziemi banderze —  
Ojczyzna moja od gór po helskie okopy —  
i wiem kiedyś oderwie się z mapy Europy  
i zaszumi zwycięstwo nad morzem. Ja wierzę!

kart pocztowych, pierwszych w Polsce  
z widokami z wybrzeża. Dziś już ich nie  
ma, chyba w jakim zbiorze jako wielka  
rzadkość. Jest jeszcze u mnie egzemplarz  
osobno oprawiony.

Poznawałem też przedstawicieli inteli-  
gencji polskiej na wybrzeżu. Wylączyłem  
z niego Gdańsk. W Sopocie znałem młodego  
i gorliwego dr. Trepiańskiego oraz starsze-  
go zaciego, lecz już w pracy społecznej  
utrudzonego, Alfonsa Clmielewskiego. Bli-  
żej o nich nie wspominać; znani byli  
wszystkim przybywającym do Sopotu. Na  
wybrzeżu, sądziłem, najwięcej inteligencji  
będzie między księżmi. Nie było jednak już  
niestety ks. Hieronima Gołębiowskiego,  
księdza „rybackiego” w Jastarni. Był to  
autor pierwszej, swego czasu w ogóle je-  
dynej a tak doskonałej, ślicznej książki o ry-  
bakach naszyci morskich. („Obrazki ry-



backie" — Pelplin 1888 r.) Żył jeszcze ks. Muchowski, proboszcz w Oksywiu, powstaniec z 1863 r., sybirak; jedyny na wybrzeżu symbol ocalałych walk niepodległościowych. Życie go jednak zmęczyło a pobyt w Oksywiu osamotnił, od ludzi odstręczył, rozgorczył tego przeznaczonego starca. Mam go na fotografii.

Symbolem żyjącego, społecznie pracującego polskiego duchowieństwa był ks. proboszcz Witkowski z Mechowy, prezes powiatowy Tow. Czytelników Ludowych w powiecie puckim. Był to urząd do sprawowania na wybrzeżu bardzo trudny, jeżeli chodzi o dokładne skontrolowanie bibliotek, o opiekę nad nimi przy ich rozstrzeleniu, rozsypaniu po powiecie, niełatwym dostaniu się do nich. Wymagałoby to niezwykłego poświęcenia, gorącego zaparcia się siebie, zrozumienia niezwykłej ważności zadania.

Z reszty duchownych raziło wielu brakiem kultury. Nawet ci, cieszący się wielkim poważaniem. Wierzę, że ze szczerego serca gości przyjmowali, lecz dla czego właśnie piwem i cygarem jakby Niemcy! Najważniejszy szedł na ulicy miasta w pantoflach, w niezapiętej sutannie i rozchełstanej koszuli, bez kapelusza, z cygarem w ustach. To raziło. Na naczelnym miejscu leżała na probostwach zwykle „Germania“, organ katolików niemieckich. Był tam zapewne także „Pielgrzym“, lecz jakby mniej poważany. Raziła mnie też i treść rozmów. A także i gra w karty z parafianami o takiej samej kulturze.

Nie piszę panegyryka, chciałbym jednak, aby wspomnienia były prawdziwe. Na wytłumaczenie, usprawiedliwienie tego stanu obyczajowego możnaby wiele przytoczyć. Większej własności ziemskiej polskiej tam już nie było. Inteligencji polskiej w zawodzie prawniczym, czy lekarskim, czy kulinarnym także nie, względnie mało. Do Poznania, Warszawy, Krakowa było — daleko a blisko — do Gdańska i Pelplina z biskupem Niemcem!

Lekarz Polak mieszkał tylko w Pucku, rodowity Kaszuba i mówił potracając kaszubską gwara, którą znał doskonale; gorący miłośnik ludu kaszubskiego i gorący Polak, jedyny utrzymujący tam na krańcach północno-zachodnich Polski łączność z kulturą polską i jej ogniskami. Był to dr Żynda. Zmieniał prawie co rok pismo abonowane z Warszawy, Poznania, Krakowa, aby ta łączność była żywsza! Abonował dla niej także i tamtejsze miesięczniki. W jego mieszkaniu w Pucku wisiały reprodukcje obrazów Matejki. Lud kaszubski go bardzo szanował. Słuchałem kilkakrotnie rozmów jego z tym ludem. Odmiosłem wrażenie, że jedno jego słowo z takiej rozmowy miało dla tego ludu większe znaczenie, jak długie mowy wiecowe przygotowywane do wyborów. Był to w owych czasach niewoli nieoceniony informator o wybrzeżu oraz jego ludzie, ten wielki samotnik z Pucka. Odwiedził mnie w Poznaniu.

W Kossakowie, na Oksywiejskiej Kępie, mieszkał drugi taki rodowity Kaszuba a gorący Polak, kowal z zawodu, Józef Klebba. O ile tylko mogłem, to go odwiedzałem. Mam jego fotografię z rodziną. Miał dzielną towarzyszkę życia i miłe dzieci. Charakteryzuje go następujący ustęp — pozostawiam ortografię Klebby — z listu do mnie 18 listop. 1913:

„Przepraszam bardzo, że opóźniłem się z odpowiedzią i podziękowaniem za nadesłane mi na długie wieczory książki do czytania. Moje dzieci się bardziej ucieszyły książkom niż gdyby im Pan przysłał najlepszych łakoczy lub karmelków i czytają z wielką chęcią. Po przeczytaniu zabiorą książki do naszej biblioteki towarzyskiej,

która obecnie także stoi pustą, ponieważ książka w niej już od dawna nie wystarcza dla czytających“.

Był on na Kępie duszą wszelkiego społecznego oświatowego i politycznego życia. Doczekał się Polski, tak jak i Żynda.

Obydwu tych Kaszubów — patriotów w żywej chowam pamięci.

Żynde cenili także i kolega mój z parlamentu, Roman Komierowski. Był to jedyny Polak-inteligent, który już w czasach niewoli miał dworek na wybrzeżu, na helskim półwyspie, w samym Helu, i przyjeżdżał tam w lecie na wywczasy i gawędy z dr. Żyndą. Na dworku był napis: „Chęć kaszubska“. Gniewało to Niemców. Zarzucali go ulotkami, np. „Wass wollen Sie hier? Wollen Sie hier etwa im Vaterland aufbauen“. Aby go widocznie nastraszyć, strzelili nawet w okno dworku.

\*

To najznakomitsi mieszkańcy wybrzeża Polacy. Z Niemcami się nie zapoznawałem. Prócz ks. prob. Reicha w Żarnówcu. Był to „niemiec sprawiedliwy“. Tak nazywał go jeden z jego wikarych, sam gorący Polak. Mnie wskazał ks. Reicha jeden z moich mężów zaufania pomorskich, gdy prosiłem go o wynalezienie chłopca ze skończoną szkołą powszechną, którego by uważał na odpowiedniego do zwiedzenia Krakowa. Zaliczyłem się mu, że tak trudno przy organizowaniu wycieczek krakowskich o chłopca z wybrzeża. Napisałem więc do ks. Reicha, nie wiedząc, że to Niemiec. Ks. Reich chłopca wskazał, tak że dziwną ironią losu pierwszy chłopiec z wybrzeża który zobaczył Kraków, był z Żarnówca. Dopiero później odwiedzając ks. Reicha dowiedziałem się od niego, że uważa się za Niemca.

A mówił i pisał doskonale po polsku. Matka jego nie znała tego języka. W 1917 r. gościł Reich całą tajną wycieczkę harcerską drużyny gimnazjalnej, prowadzoną przez Waleriana Chrzanowskiego. Pisałem w sprawie przenocowania jej do ówczesnego wikarego, ks. Wryczy, gorącego Polaka. Odpisał, że nie będzie go może w oznaczonym czasie w domu, lecz „ks. Reich o nocleg się postara“. Korespondowałem więc z Reichem kilkakrotnie. Odwiedził on mnie też w Poznaniu. Mówił, że kolegował w gimnazjum z adw. dr. Mieczkowskim w Poznaniu. Gdy Polska powstała, dowiedziałem się, że miał zatargi z władzami naszymi, że to „zacięty Niemiec“. Nie zrozumiałem, aby człowiek, który za czasów niewoli był wobec nas „sprawiedliwym“, miał się stać w wolnej Polsce hakatystą. Dowiedziałem się o co poszło.

Oto wkrótce po zajęciu Pomorza zlecono mi, aby w dzień uroczystości rocznicy 3 Maja miał kazania o — Konstytucji 3 Maja. To było za nagłe; nie on zresztą o tej konstytucji nie wiedział, więc — odmówił. Mówiono, że miał zatargi ze starostą. Tam poinformowano mnie, że z akt przekonałem się o jeszcze ostrzejszych zatargach z pruskim laudratem, że to już tkwi w jego usposobieniu. Tak zwykli odnosić się do władzy. Słyszałem, że miał niemylne zatargi z władzą wojskową. Okazało się, że przekrecono jego słowa i oczerniono go. Niemyla stała się sprawa załatwienia zatargu i przeproszenie. Zaliczył się wobec mnie o to. Opowiadał mi później ks. Witkowski z Mechowy, że Reich mówił do niego: „Bo wy mnie nie rozumiecie. P. Chrzanowski z Poznania mnie rozumie“. Gdy prezydent Rzeczypospolitej, Woiciechowski zwiedzał wybrzeże, Reich urządził na krążanku piękną wystawę swych skarbów kościelnych i powitał prezydenta przed kościołem, stojąc wśród ludzi, pięknym przemówieniem. Powiedział wprawdzie, że lud jego parafii ma jego zda-

niem inną mowę jak Polacy, lecz mimo to jest sercem z Polakami złączony i czuje tak samo jak lud polski! Tego mu za złe brać nie było można, bo są i polscy uczeni, którzy to twierdzą, jak np. Stefan Rahmut!

Był to oryginał. Myśliwy; polował na roli na kuropatwy, w lasach żarnowskich na dziki i sarny, na jeziorze na kaczki, a na morzu na morskie ptactwo. Jako człowiek był dobry. Gdy jednak w procesie mu wytoczonym niektórzy świadkowie, urzędnicy, gorszyli się jego rzekomą zawziętością, przejechał się po nich złośliwie: „Ci panowie takimi się gorącymi Polakami dziś przedstawiają a za czasów pruskich nikt o ich gorącej polskości nie wiedział“. Uwaga była podobno słuszna.

Za dużo może o ks. Reichu napisałem, lecz był to dla mnie taki rzadki a ciekawy typ! Pisał do mnie jeszcze w czerwcu 1930 r. „... skronie już u mnie siwe. Przerobiłem dużo. Witałem 10 lat temu Polskę spokojnie, choć jako rodzony Niemiec, bo miałem wobec ludności polskiej sumienie czyste z czasów dawniejszych. Nawet szczerze życzyłem temu ludowi tak długo gnębionemu własnej państwowości. Ale toć Szan. Pan pewnie sam czytał gazety, jak mnie obmalowano. Raz zaskarżyłem gazety, wygrałem, ale odrzekłem się dalszych procesów, a gazety pisały dalej... Jedyną pociechą w tym ciężkim czasie było, że parafianie do ostatniego wiernie stali przy mnie, zresztą był to równocześnie dowód, ile te wywody w gazetach były warte“.

\*

Poznałem, prawda, jeszcze i Niemkę, arystokratkę, żonę właściciela Rzucewa, dyplomaty, pana von Below; jeden z jego przodków gościł tam króla pruskiego. Poprowadziłem z Pucka połowę międzyministerialnej komisji — Warszawa się spóźniła z przybyciem — do lipowej rzucewskiej alei. Gdy zabieraliśmy się do powrotu, przystąpił goniec z pałacu do dr. Żyndy, zapraszając w imieniu pani v. Below na podwieczerek. Nie byliśmy temu radzi. Żynda zapewnił jednak, że Belowowie zachowują się jak najlojalniej, uczą się polskiego języka. Zdawało się nam też niestosownym odmówić przybycia właściciela Epowej alei.

Przyjmowała nas w towarzystwie syna może dwudziestoletniego; smarowała sama chleb i nalewała mleko, syn roznosił. Zwróciła się do mnie jako do najstarszego, zapewniając o lojalnym odnoszeniu się do rządu polskiego: „Niech mi Pan wierzy, ci panowie rządzący w Berlinie, to nie moja ojczyzna“. Rozpoczęła się swobodna rozmowa. Dyplomatką zaczęła jednak wkrótce zarzucać nas niemylnymi pytaniami. Na przykład: Czy wiemy o tym, że lud roboczy na Pomorzu nie odnosi się życzliwie do władz polskich. Zapewniliśmy ją, że jest najfałszywiej poinformowana. Czy to prawda, że Anglicy nie życzą sobie, abyśmy otrzymali Górny Śląsk? Prosiłiśmy, aby się tym nie niepokoila; Górny Śląsk będzie nasz. Pytania takie zaczęły niecierpliwieć. Na pytanie, czy są w komisji agrariusze, odpowiedź, że jest tylko jeden, zdziwiła ją.

Strzeliła mi wtedy myśl do głowy i do dałem: „Tak, lecz jeden z członków, chociaż nie jest sam właścicielem ziemskim, zna się jednak doskonale na rolnictwie“. Jest to prezes komisji parcelacyjnej w Poznaniu, dr Rozniarek“.

Przeraziło ją to bardzo, zwróciła się zaraz do niego, sugerując: „Ale nas przecież Pan parcelować nie będzie?“ Przeraziło ją to tym więcej, że krótko przedtem, mówiąc o Rzucewie, zaznaczałem, że widziałem tu niegdyś i wspaniałą pszenicę i śliczną koniczynę. Przyznaję, że uwaga



moja nie była może stosowna, lecz spowodowana — pytaniami dyplomatki.

Rzucewo do dziś parcelacji nie podległo.

\*

Lubimy dzielić się radością z przyjaciółmi, nawet z obcymi! Ktokolwiek też ze znajomych znalazł się w Sopocie, a z braku schronienia po wsiach, tylko do niego można było wówczas przyjeżdżać, namawiałem go zaraz do zwiedzenia chociażby Oksywia, wsi, przylądka, cmentarza, przecież, jak o nim pisałem, „najpiękniejszego w Polsce“.

Byli więc na nim ze mną: Józef Milewski, prof. uniw.; English, późniejszy minister skarbu; Marian Seyda, późniejszy senator; adw. Poszwiński — później podsekretarz stanu; dr Tadeusz Szuldrzyński — późniejszy senator; dr Józef Pomorski; dr Bol. Krysiwicz, później prezes Rady Lud. na Wielkopolskę, najwierniejszy z przyjaciół, itd.; wszystko Wielkopolanie! Wszystkich chwyciło to samo: polska wieś przymorska i lany zboża na przylądku; chwyciło jak objawienie.

Zainteresowałem dwie pp. Łubieńskie, Marię i Annę z Kiaczyna w Wielkopolsce, przebywające z matką w Sopocie, wsiami polskimi nad wielkim morzem. Pojechały koleją 4 klasy, aby poznać lud już w podróży, do Pucka, skąd poszły pieszo do Wielkiej Wsi i wróciły — zachwycone. Opowiadały Tadeuszowi Micińskiemu, poznanemu przypadkowo na statku, o rzucewskiej alei lipowej. Poszedł tam i napisał do mnie kartkę „Wdzięczny Panu jestem za Rzucewo“. Stąd też jego wiersz o alei. (Tyg. Ilustr. — 1911 r.).

Namówiłem uczonych prof. uniw. Michała Siedleckiego i Adama Wrzowska na oksywską wyprawę nawet w dzień marcowy w wicherze i śnieżnej szarudze, w błocie. Przyjechalismy wtedy do Gdańska, na konferencję z przedstawicielem Ligi Narodów Anglikiem Towerem w sprawie politechniki gdańskiej. Była tam gorąca dyskusja. Przy jego sztywnym stanowisku wobec żądań polskich uniosłem się, wywodząc że Anglicy jeszcze widocznie nie poznali Prusaków i „prorokując“, że będą tego jeszcze żałować, bo „Gdańsk stanie się bastionem agitacji pruskiej na wschodzie Europy“. Towarzysze mówili mi, że to moje uniesienie nie mogło stać się dla nas szkodliwym, że dobrze że to się stało.

Zwiedzenie wybrzeża działo się zwykle w samotności. Ciężka była zanikająca co chwila ścieżka przez łąki i torfowiska z Dębogóry do Rumii. Nudna była szosa przez łęgi Rewy z Mrozina na Oksywską Kępę. Zimna z deszczem przeprawa żaglówką z Rewy do Ostoina. Niezwykła droga po przybrzeżnym piasku z Mechlinek do Rewy, gdyż towarzyszyła mi przez cały czas, okrążając mnie nieustannie, jaskółka, a nie wiedziałem, co to znaczy; otóż chodziło o okrążające mnie pod wieczór przy łagodnym wietrze owady.

Miła była droga leśna na zamkową górę nad żarnowieckim jeziorem i powrót przy rozmyślanii, gdzie mogłoby tam stać osiedle Wysoki Zamek — Trzebiatowskiego. Niezapomniana pozostała mi popołudniowa droga w skwarny niezmiernie dzień z Żarnowca do Dębek; doznałem bowiem, jak mi potem mówiono, „pustynnych“ objawów

zmęczenia; język stał mi kółkiem w ustach, tak że przy ujściu Piańnicy, obawiając się pić przy ostatniej chałupie złotej wody ze studni, płukałem usta wodą z morza. Prześliczną była cała słoneczna przy wielkiej ciszy droga na rowerze z Mrezina do Pucka — z radością napotkania rzucewskiej alei; później odwiedzałem ją jeszcze kilka razy z Zelistrzewa. Cudną była jazda w ciszym łodziu z Mechlinek z dwoma rybakami, ku końcowi już pod wieczór, aż do Gdyni; morze mieniło się co chwila innym oświetleniem, przeróżnymi barwami.

#### MORZE I POMORZE W GRAFICE POLSKIEJ



T A D E U S Z C I E S L E W S K I ( S Y N )  
P O R T W P U C K U  
D R Z E W O R Y T

Były też przygody w samotności. Gdy rowerem chciałem się dostać raz pierwszy do Mechowy, wiał taki silny wicher z zachodu, że nie mogłem mu dać rady, oparłszy więc rower o przydrożne drzewo, nieogłębnie od strony rowu, schowałem się do niego na odpoczynek; wiatr zrzucił mi rower na głowę! W burzy i przy ciągłym srogim deszczu, nie dokończywszy wycieczki, jechałem bryczką okryty peleryną i derami z Jastarni aż do Pucka. W Babin Dole zaczął mnie ostro, choć nieślusnie, właściciel gospodarstwa niemiec, że nie szanuję jego jarzyn; wykupiłem się sфотографowaniem go i legitymacją posła do parlamentu, wywołując w tych odległych okolicach nadmorskich zawsze zdziwienie.

Gdy prowadziłem komisję miedzyministerialną brzegiem morza z Karwi do Rozewia, zapomniałem przy decyzji o ujściu Czarnawy. Uprzytomniwszy to sobie, wysunąłem się mocno naprzód; doszedłszy do ujścia, ściągnąłem szybko obuwie i przeszedłszy strumień, szedłem spokojnie dalej. Wobec tego już i najpoważniejsi członkowie komisji się temu poddali.

Zdarzyło się, że na dalsze wycieczki zabierałem ze sobą towarzyszy, lub zabierało mnie. Dr Żynda obwoził m nie raz, od-

wiedząc swych pacjentów po okolicach Rozewia. Innym razem płynąłem z nim żaglówką z Pucka do Chałup przy „sztormie“; od strony wiatru siedział Żynda z grzeczności; załała go kilka razy fala, że to był już „sztorm“, dowiedziałem się dopiero w Chałupach, gdy pierwszy zaraz pacjent, zobaczywszy Żynde, zapytał, dlaczego przyplynał przy takim „sztormie“?; byłem oczywiście z tego dumny!

Franciszka Bąkowskiego z Warszawy, później wydawcę pierwszej obszernej mapy Kaszub, zabrałem na wycieczkę, zaraz na drugi dzień po jego pierwszym przyjeździe do Sopotu. Nazwałem go dlatego swoim „uczniem“. Pojechalismy przeprawiłismy się łodzią przez jezioro do Lubkowa i poszłismy przez Żarnowiec na nocleg do Ostrowa. Tam gościnną nienka przyglądała się tym rzadkim wówczas „turystom“ z łłomokami na plecach podejrzliwie i zażądała przedłożenia legitymacji; przedłożyłem parlamentarna; dopiero wtedy nas przenocowała. Kiedy indziej szedł ze mną znany mi członek towarzystwa „Sokół“ w Berlinie, Czesław Borowicz. W Karwi nie mogliśmy nic dostać do jedzenia; z trudem aprosiliłsmy nieufną wobec nas co do zapłaty Kaszubkę, że kurę dla nas zabiła i ugotowała. Doszłismy jeszcze na czas pod wieczór na kolej do Pucka.

Trzy razy mieszkałem na folwarku w Redlowie; wszelkie zakątki wzgórz poznałem więc dokładnie. Widok z nich najpiękniejszy z tzw. „Gdańskiej górką“ za stodoła.

Wędrowałem, nadając czasami jako „odkrywca“ nazwy. Na przykład: grocie w Kolibkach — „grota Marysieńki“; polanie w redłowskich wzgórzach, obramowanej białymi brzożami, a z drugiej strony czarnymi świerkami, — „Dolina Smętka“ (patrz „Wiatr od Morza“ str. 34); rzucewskiej alei lip — „aleja Sobieskiego“ (patrz „Praca“ Poznań — nie pamiętam roku); podgórze pod górą zamkową nad żarnowieckim jeziorem — „osiedle Trzebiatowskiego“ (patrz „Wiatr od Morza“ str. 119).

Wędrowałem, napotykając czasem na chaty z podcieniami, fotografowałem je dla Al. Majkowskiego; najpiękniejsza w Strzelinie (Gryf — 1910 str. 51). Trzy fotografie, między nimi fotografię tej ślicznej chaty, umieszczonych w pierwszym wydaniu szkiców z 1917 r. przed kartą tytułową, posłałem Zygmuntovi Glogerowi. Bardzo się im ucieszył i chciał je wszystkie w drugim tomie swego „Budownictwa“ umieścić; przeszkodził temu jego zgon.

Czasami rysowałem pązdury (tamże str. 53). Prześliczną kamienny topór znalazła córka moja, Hanna, pod wzgórzami Redłowa w piasku przymorskim (patrz szkic — Kamienny topór — Gazeta Gdańska 1937 nr 4). Piosenki nie ustyszałem żadnej; czekały na Łucjana Kamińskiego. Posłałem mu w r. 1921 spis wszystkich, gdziekolwiek drukowanych melodii kaszubskich. W odpowiedzi swej streścił program swej pracy nad nimi (patrz szkic mój „Dzieje kaszubskiej piosenki“ — „Z Wybrzeża“ — 1934, str. 49). Wypełnił ten program najskrzętniej. Nowowiejskiego zapoznałem z melodią „Oj żeglarzu żegluj-że“. Przy spotkaniu oświadczył mi, że pisze operę „Legenda Bałtyku“, w której głównym motywem będzie ta właśnie melodia.  
Bernard Chrzyszowski



# KRASZEWSKI NA NOWO ODCZYTANY

## INNE WCIELENIE LITERACKIEJ POSTACI KSIĘCIA „PANIE KOCHANKU“

60-lecie śmierci J. I. Kraszewskiego nie może być niczym godnie uczczone jak odświeżeniem oczom czytelnika polskiego zapomnianych lub zgoła nigdy niezauważonych bogactw, zawartych w jego dziele. Nie deklamacje uroczystościowych „akademii“, ale poznanie utworów, przesłoniętych mniej artystycznie wartościową „szkolną“ lekturą Kraszewskiego — popularyzatora historii. Ścieżki do tych bogactw dziś zarosły trawą niepamięci: nie trafi się do nich bez przewodnika. Materialnie są zresztą niedostępne: zniszczenia wojenne zrobiły bibliograficznymi „białymi krukami“, zacytane już i przed wojną, egzemplarze jego tak niegdys popularnych wydań zbiorowych, nie wznawianych od lat kilkudziesięciu. W najbliższym czasie pojawi się na rynku seria takich niedostępnych dziś powieści pod wspólnym tytułem „Kraszewski na nowo odczytany“. Powieściom będą towarzyszyły studia redakcyjnej serii K. W. Zawodzińskiego, który udzielił nam fragment ze swego postawienia do tomu zawierającego „Ostatnie chwile Księcia Wojevodę“ (Red.)

\*

Można powiedzieć, że pod imieniem ks. Karola Radziwiłła „Panie Kochanku“, wojewody wil., istnieją dwie niezależne od siebie i bardzo odmienne postaci naszej przeszłości. Jedna w płaszczyźnie rzeczywistej, postaci historycznej (ur. 1734 † 1790): postać zupełnie nieznacząca w stosunku do bogactw i możliwości życiowych przyniesionych z urodzenia. Bogacz największy bodaj z urodzenia Rzeczypospolitej Polskiej, właściciel prywatny włości o przestrzeni równej co najmniej połowie królestwa Belgii. \*)

Na tej przestrzeni mieszkało, nawet przy ówczesnym rzadkiem zaludnieniu i obszarach błotnistych lasów, kilkaset tysięcy w mniejszym lub większym, ale zawsze w wysokim stopniu zależnych od swego pana i władcy: byli to „pracowici“ *ad glebae adscripti*, „sławetni“ i „niewierni“ po miastach i miasteczkach, a także wielka rzesza „urodzonych“-oficjalistów, dzierżaw-

ców, funkcjonariuszów administracji centralnej, palestrantów pilnujących interesów radziwiłłowskich, nie mówiąc już o liczniejszych niż na jakimkolwiek innym dworze pańskim w Polsce różnych stopni dworakach i rezydentach oraz o dziesięciotyśięcnej blisko sile zbrojnej, tworzącej regularne pułki i chorągwie różnych rodzajów broni a stanowiącej garnizony kilku fortec, z których sam Nieśwież zaliczał się do najpotężniejszych w Rzplitej i dlatego był oficjalnym miejscem przechowania „metryk“ litewskich, archiwum urzędowych akt W. Ks. Lit. Jak widzimy, potęgą rozciąga się pod względem uzależnionych rzesz ludzkich na miarę niejednego księstwa, z tem w dodatku, że zależność ta wynikała z prawa prywatnego a nie publicznego, bądź co bądź, nawet w najbardziej absolutnych ustrójach państwowych zostawiającego określoną niezależność poddanym. Raczej więc może należałoby porównać stanowisko Radziwiłła z pozycją miliardera amerykańskiego, rzekomo równego wobec prawa każdemu ze swych robotników, z którym wymienia uścisk dłoni przy nadarzonej okoliczności, w istocie stojącego ponad prawem, i to od urodzenia, jeśli nie należy on do rzędu tych, którzy w dzieciństwie sprzedawali gazety, lecz do rodowej arystokracji pieniężnej, do tej *society*, na której imaginacyjnie życie patrzy z uwielbieniem i czułością, również naszej dla sarmackiego magnata, widz amerykańskiego filmu. „Równość szans życiowych“, która rzekomo jest przywilejem obywatela amerykańskiego, była też i oficjalnym przywilejem każdego szlachcica polskiego\*), urodzonego w tak surowo przestrzeganej równości i braterstwie, że byłoby dlań obrazą, gdyby w liście od tegoż Radziwiłła nie znalazł zwrotu „Miłoścywu Panie i Bracie“. Można jednak choćby właśnie na przykładzie Księcia „Panie Kochanku“ stwierdzić iluzoryczność tej równości: od najwcześniejszej młodości przeznaczony do wielkich i odpowiedzialnych urzędów publicznych, czterastoletni poseł na sejm, młodzieńczy Miecznik W. Ks. Lit. z tym swoim wysokim tytułem związany w legendzie z serją dzikich i bezkarnych wybryków, potem wojewoda wileński, która to pierwsza godność senatorska w W. Ks. Litewskim dziedziczyła się nieomal i nigdy prawie nie wychodziła z domu Radziwiłłów, otrzymany poza bezpośrednio od niego zależnymi całą kohortą „przyjaciół“ a raczej klientów tradycyjnie oddanych jego domowi, często przedstawicielami starożytnych i możnych samych przez się rodzin szlachty litewskiej, mając na każde skinienie głosy i szable tysięcy braci szaraczkowej z zaścianków, wciśniętych pomiędzy jego włości albo poprostu czynszowej — oto trapił, z której księciu Karolowi, synowi hetmana W. L. i ostatniej przedstawicielki

\*) Jednak, jak i w stosunkach amerykańskich, potencjonalnie realnym. Jak wśród miliardero w są „selfnademani“, tak i w dawnej Rzplitej przy zdolnościach, szczęściu i energii, można było wspiąć się z dotów szlacheckich do najwyższych godności, a w ciągu dwóch pokoleń aż na stopniu tronu, jak to widzimy na Sobieskim i Poniatowskim, synach pierwszych wybitnych członków swych rodzin.

książęcego (a tron polski zajmującego z królem Michałem!) rodu Wiśniowieckich, dane było wykonać skok w życie.

Tymczasem i w pamiętnikach ówczesnych i w opracowaniach historycznych czy historyczno-obyczajowych jego epoki dziwnie mało zajmuje on miejsce. Z wyjątkiem najchętniej przez legendę pomijanęj wstydliwym milczeniem roli w konfederacji radomskiej, gdzie był on główną marionetką w ręku obcych potencji, nie widzimy go na stanowiskach decydujących i historycznie pamiętnych. W konfederacji barskiej, której niejako patronem duchowym czyni go epopea kontuszowa nie znajdujemy go ani w rzędzie licznie rozslawionych partyzantów, Pułaskich czy Bierzyńskich i Sawów, ani choćby w jakimś nieudałym ale na większą skalę przedsięwzięciu, jakby wypadło magnatowi jego kalibru, narówni choćby z hetmanem Ogińskim, ani wśród wielkich intrygantów Generalności konfederackiej, reprezentujących przeważnie nieszczęśliwie ale niebez wydatnych efektów politycznych Polskę przy stole gry ówczesnej dyplomacji europejskiej. Nawet pomiędzy tak licznymi typani jaskrawych oryginałów i awanturników, w które obfitował wiek XVIII, i o których rozwodzą się pamiętnikarze współcześni, nie zajmuje on poczesnego miejsca obok takiego Ksawerego Branickiego czy Starosty Kaniowskiego. Najwyżej przytacza się go jako przykład ograniczonej umysłowej (Niemcewicz) i niedostatecznego, i nieodpowiedniego człowiekowi jego stanu wychowania (H. Koftaj), co dziwi nieco, gdy się zważy, że jego matka była literatką, wystawiała na własnym nadwornym teatrze swe sztuki, w których była prekursorką dramaturgii stanisławowskiej, a w każdym razie jedną z kulturalniejszych wielkich dam swego czasu; po niej mógł on odziedziczyć twórczą fantazję czy skłonność do tworzenia fikcji, lecz nawet o jego legendarnej mitomanji nie zdarzyło się mi spotkać współczesnych, autentycznych świadectw.

Jeśli go porównamy z innym magnatem, współcześnie analogiczne stanowisko dzięki fortunie i urodzeniu zajmującego na Rusi, ze Szczęsnym Potockim, nie z jakąś wybitną, pożałuj się Boże! — lichotą swego charakteru ujawnił wystarczająco w sprawie nieszczęsnego małżeństwa z Gertrudą Komorowską, dość przeczytać wydany przez Kraszewskiego zbiór dokumentów pt. „Starościna Belzka“, — to i tu trzeba powiedzieć, że pan Tulczyński pod każdym względem głośniejsze, większe miejsce zajmuje w historii, choćby anegdotycznej, czy to pierwszoplanową rolą w konfederacji targowickiej, czy przedtem nie pozbawionym gestu, a przynajmniej efekciarstwa patriotycznego wystąpieniami w epoce Wielkiego Sejmu, czy mecenasem kulturalno-artystycznym upamiętnionym realną Sofiówką i poematem Trembeckiego, wziętego w starości na rezydencję, czy choćby wreszcie rozgłosem swego życia prywatnego z jego dwoma małżeństwami: nieszczęśliwie-romantycznym pierwszym i egzotyczno-skandalicznym ostatnim. Naprawdę, wyjątkowa chyba tylko mierność historycznej postaci księcia wojewody wileńskiego mogła pozostawić go postacią tak małego znaczenia w stosunku do odziedziczonej, otrzymanej przy urodzeniu szansy życiowej.

Inną zupełnie osobą, innego kalibru, jest książę Panie Kochanku w literaturze: żyje do dziś dnia trwałszem i jaskrawszem życiem niż jakikolwiek inny z portretów galerji nieświejskiej. Trudno wyliczać te wszyst-

\*) Obliczenie moje opiera się na następujących danych. Tak zwana „masa radziwiłłowska“, tj., to co przeszło z głównej linii Radziwiłłów, której przedostatnim przedstawicielem był ks. Karol „Panie Kochanku“, do dwóch pokoleń książęcych rodów niemieckich, wynosiła w momencie likwidacji, koło 1890 r. przeszło 900.000 ha, do tego trzeba doliczyć ordynację nieświejską, wynoszącą jeszcze w 1914 roku przeszło ówczem miliona hektarów, oraz rozmaite inne posiadłości, które przeszły do bocznych linii domu Radziwiłłowskiego. Nie licząc majątków rozdanych „ciepłą rączką“ przez samego Panie Kochanku oraz jego bratanek i spadkobiercę ks. Dominika, też wielkiego marnotrawcę, trzeba zwrócić uwagę w kalkulacji na dobra skonfiskowane przez Rosję po pierwszym rozbrojeniu i na skutek udziału Radziwiłła w konferencji Barskiej. Są to, że wymienimy nazwy najbardziej znane, dobra siebieskie i newelskie, stanowiące nawet w proporcji fortuny radziwiłłowskiej bolesną dla niej stratę. Jak widać na oko, już doszliśmy do minimalnej cyfry półtora miliona ha, czyli 15.000 klm kw., tj. więcej niż połowa Belgii przedwojennej a o wiele więcej niż dziesiątki udziałnych księstw niemieckich, mając tu na myśli jedynie większe, te które dotrwały do pierwszej wojny światowej, nie mówiąc zaś o tym roju zmedjatywowanych w epoce napoleońskiej drobnych państewek, z których po pokoju westwalskim składała się Rzesza



## WIERSZE

\*

Zmierzchem znikają dni za lasem  
zranioną wstrzymywane dłonią  
Błękitny w czarnym rżęs ałlasie  
blaskiem umarłych źrenic płoną.

W pszenicy krwawy maków pożar  
łą przygaszony wsiąka w mrcki,  
noc płachtą ciemną zbiera zboża  
chyłące się pod echem łoków.

Łśniących na łące od snu czarnej  
gwiazd zżętych świtem, nie zagrabisz,  
lecz błysną one w oczach sarny  
biegnącej ścieżką pod karabin.

\*

Noc z pobielonych schodzi ścian  
umarłych cichym krokiem w sad.  
Do okien puka zorzą ran  
o świcie zgasty w polu brat.

Powiekę zamknął modry dzień  
w poszumie niedojrzałych żył —  
Skowronek mu wyśpiewa cień,  
gdy ziemię z mgieł wyorze świt.

Z rżęs spadną łąz kroplami ros  
na krwawy ślad skoszonych łąk —  
Obłoki stadem białych kóz,  
Krew z załamanych piją rąk.

Nie przyszedł ciszą ściętych lip  
pod zdarty burzą stary dach —  
nocą do modrych przywarł szyb  
zbroczony zorzą spadłą w piach.

U wrót przystanął szeptem wierzb  
w błękitnym locie zgasty brat.  
Spod okien krwi nabierze zmierzch  
a ustom różę poda wiał.

\*

Nie pójdziesz w lato ze mną  
drogami ciepłych kwiatów,  
lecz w noc gwiazdami ciemną  
rozjaśnioną granatłem.

Usia wysrebrzy rosa  
łąkom podana rano,  
kula cię zetnie kosą,  
jak trawa zwiędnie sianem.

Zapłacze liściem brzoza,  
gdy chmury czarnych wołów  
świszczącym wichrem zwiozą  
ciało do zimnych dołów.

Łzy kwiecistym fartuchem  
słońce matce obetrze —  
za stołem siądziesz duchem,  
gdy drzewi zaskrzypią... na wietrze.

\*

Świt gwiazdy łrząć zactyna  
na trawy z złotych soseni,  
pozbiera je dziewczyna,  
na rżęsach załśnił rosą.

Wydatte ceniom oczy —  
jak siwe dwa gołębie  
zniżone w modrym locie,  
ukazą źrenic głębie.

Do ust przyłoży szklanke  
z czerwonym nieba winem  
i roześmiana rankiem  
mgłą w słońcu się rozplynie.

kie dzieła literackie, w których jest on głównym bohaterem, a tem bardziej te, w których występuje epizodycznie na dalszym planie, albo choćby tylko pośrednio jako paragon moralny, miernik najwyższych wartości, jako patron, duch opiekuńczy, istota sama epoki kontuszowej. Można by z naszej literatury w epoce romantycznej i późniejszej utworzyć cały cykl epicki, w którym książę Panie Kochanku gra rolę jakby Karola Wielkiego we francuskich *Chansons de gestes* króla Artura w cyklu powieści Okrągłego Stołu lub księcia Włodzimierza, „Krasnoje Sohyszko“ w „kijowskim“ cyklu bylin wielkoruskich: potentat dobrotliwy lecz kapryśny, wokół którego drużyna bohaterów dokonywa wielkich czynów na jego rozkaz, pod jego auspicjami, w okolicznościach rozpętanych jego wola, czy nieostrożnością. Od wymienionych już władców, patrolujących cyklom epickim, ale ujętych dość blado i schematycznie jako osobistości, różni się on bogatszą charakterystyką indywidualną, do której należy: dowcip i fantazja niesłychanego łgarstwa, nieskalana nigdy wspaniałość duszy i osobista dzielność ujawniona, zwłaszcza w różnych okazjach burzliwej młodości. Nie tylko pod względem znaczenia fortuny, ale i pod względem politycznym i obyczajowym wydaje się on prawdziwym królem Litwy, začíniewającym wszystkich współczesnych w Rzplitej magnatów, a wobec którego śmieszna i niegodna karykatura majestatu wydaje się król warszawski, „stolnik litewski“, reprezentant „zepsutego wieku“, gdy cały zdrowy trzon społeczeństwa, patriotyzm i zdolność przetrwania mieszczą się z ufną wiarą w lepszą przyszłość są uosobione w iowialnej postaci ordynata nieświeckiego.

Kiedy, gdzie i w jakich okolicznościach urodziła się ta legendarna postać? Mogłoby to być przedmiotem obszernej roz-

prawy, na która tu brak miejsca i brak odpowiednich materiałów. Jak mi się zdaje, narodziny jej związać należy z wileńskowo-nowogrodzką genezą naszego romantyzmu. Najwcześniejszy znany mi ślad istnienia tej legendy, ale już zupełnie sformowanej i rozkwitłej, znajdujemy w „Panu Tadeuszu“. Nieliczne wprawdzie, ale wymowne nawiązania odnoszące się do Księcia Panie Kochanku ukazują go takim, jakim w całej okazałości, jako główny bohater książki ma wystąpić w „Pamiętkach Soplicy“, których geneza jak wiadomo jest w związku z niekiewiczowskim otoczeniem epoki poprzedzającej powstanie „Ostatniego Zajazdu na Litwie“. Uderza też, że Henryk Rzewuski, tworząc powieści na tle czasów kontuszowych, nie sięgnął do bliższej mu rodzinnej tradycji, skąd mógł przecie wydobyć i ożywić ciekawe i charakterystyczne postaci jak dziada swego, znakomitego umysłem i zasługą, i niemniej godnie utytułowanego hetmana Stanisława, jak stryja Seweryna, może mniej staropolskiego hetmana, zato fanatycznego ideologa ustroju starszłacheckiej Rzeczypospolitej. Szedł więc widać torem wskazanym mu przez tę tradycję, w której skapał się, zetknawszy się ze szczytami literatury polskiej w momencie przygotowującym „Pana Tadeusza“, ze środowiskiem, w którym „Radziwiłł Książę“ żył już pełnią swego legendarnego żywota. Jak do tego doszło? Wydaje mi się, że dla potomków ubogiej przeważnie szlachty litewskiej, dla syna skromnego palestranta nowogrodzkiego, jakim był Mickiewicz, który w dodatku niejedne wakacje spędził w jeszcze bliższemu promieniowaniu Nieświeża podległej okolicy, nad brzegami Świtezi, postać przedostatniego, a ostatniego kontuszowego, przedstawiciela całej potęgi Radziwiłłów była z opowieści słyszanych w dzieciństwie czemś najwyższem jako potęgą i władzą człowieka na ziemi; od niego, jak

## Z „LISTY STRAT KULTURY POLSKIEJ“ NA POMORZU



JOZEF BRANDT (1841-1915)

„POTYCZKA“ (OLEJ)

Reprodukcja ze zbiorów Muzeum Miejskiego imienia L. Wyczółkowskiego w Bydgoszczy.  
Obraz uległ zniszczeniu w czasie okupacji.



od króla samowładnego, zależały losy tych wszystkich, wśród których wzrastał i rozwijał się Mickiewicz; o nim, jak o każdym królu wśród jego poddanych, krążyły anegdotki wyolbrzymiające dostrzegalne rysy charakteru; jak król w bajce, występował on jako czynnik decydujący w ostatniej instancji w rozwiązaniu każdej sprawy; jak król w bajce, jak Bóg w niebiosach, był on w mowie *tertium comparationis*, gdy chodziło o stopień najwyższy jakiejś właściwości („królewska uczta“, „boska rozkosz“ itp.) To też, gdy romantycy nasi, w braku własnego średniowiecza, zwrócili się do tradycji im bliższej, do naszej epoki kontuszowej w poszukiwaniu materiału tematycznego epiki (a pierwociny tego odnajdujemy znowu u Mickiewicza, w piśmym w 1825 r. „Popasie w Upicie...“), centralną postacią wysublimowanego sarmatyzmu stał się legendarny pod domową strzechą Książę Panie Kochanku.

Kraszewski, acz wiele młodszy, wyszedł ostatecznie z wileńskich kół romantycznych, tam, w stolicy Litwy, spędziwszy burzliwe dłań i płodne wspomnieniami na całe życie lata uniwersyteckie. Jeśli chodzi o jego tradycje rodzinne, to aczkolwiek nie bezpośrednio w promieniowaniu Nieświeża, wrastał on w okręg oddziaływania drugiej stolicy Radziwiłłów, Białej Podlaskiej, gdzie w cieniu murów zamkowych minęła część jego lat szkolnych. Wszystko to czyniło go podatnym na przyjęcie legendy Księcia Panie Kochanku, więc też w niejednym jego utworze odnajdujemy artystyczne wcielenie tej postaci, niezależne od jej historycznego oblicza, które Kraszewskiemu, wybornemu znawcy XVIII wieku i wybitnemu historykowi, było dobrze znane w swej nićkości, nikt też zajmując miejsce w czysto historycznych jego opracowaniach tej epoki. Kraszewski i w tej sprawie, jak w każdej innej, współżył duchowo ze swym społeczeństwem i był jego duchowym wyrazicielem: dlatego też legendarnego Panie Kochanku ożywił w swych dziełach powieściowych i dramatycznych. Jednocześnie jednak był on umysłem wyższym i niepodległością przekonań łączył z oryginalnością sposobu widzenia, właściwą artyście; nieraz, w sprawach obchodzących społeczeństwo, umiał z godną uznania odwagą cywilną zająć stanowisko samodzielne i śmiało się wypowiedzieć. Ten dwoisty stosunek do powszechnie uznanych wartości odnajdujemy w naszej powieści, pisanej prawie na schyłku twórczości w 1876 r., ale stanowiącej dowód niesłabnącego jeszcze, w najlepszych jej chwilach, talentu.

Radziwiłł występuje tutaj z wielu tradycyjnemi rysami swej legendarnej postaci. Jest on indywidualnością wybitną, góruje nad otoczeniem również i umysłowo; faccjonizm jego ma charakter swoistej, w oryginalną szatę przybranej, ponurej filozofii życia, na którą pada już cień zbliżającej się śmierci. Szatą tą jest legendarne łgarstwo a raczej niewyczerpana w inwencji, niczem nieskrępowana fantazja opowieści, której skracając długie bezsenne noce chorego, zabijając czas rozmową z dyżurnicami przy łożu dworzaniemi; nie wśród wesółych uczt widzimy bowiem ks. Karola, ale oślepego, przeczuwającego rychły koniec, obracającego się wśród wspomnień burzliwej młodości i wśród widm dawno nieżyjących jej towarzyszy. Owe wspomnienia młodości też nie zawierają w sobie nic tak bardzo chwa-

lebnego i jawią się jakby w formie niestarłej zgrzyoty, dokuczliwych wyrzutów sumienia. Niepołamana duma i jej kaprysy, zgodnie z rysami legendarnego oblicza, doprowadzają tu do konfliktów nie dających się gładko, szybko i sielankowo rozwiązać: przebaczenie tych win można uzyskać tylko na łożu śmierci.

Na czym te winy polegały, dzieje młodości, a raczej pańskiego sentymentalno-erotycznego kaprysu poznajemy ze wstawki, zajmującej na objętość całą połowę książki a poświęconej jednemu epizodowi młodości Radziwiłła. Jest ona barwna i bujna w swym tonie, a niemniej plastyczna i malarsko świetna od melancholijnych i jednolicie zabarwionych swych ram, którym jest właściwa, bezpośrednio czytelnikowi podana, opowieść o ostatnich chwilach wojewody. Tę jednolitość należy szczególnie podnieść w rzędzie walorów artystycznych utworu dawno już, od chwili publikacji, bardzo wysoko i zupełnie słusznie ocenionego. Jeśli chodzi o wspomnianą przed chwilą jednolitość nastroju, to można ją porównać zaledwie z najwybitniejszymi dziełami epiki o wiele późniejszej, neoromantycznej, z prozą narracyjną „Młodej Polski“, gdzie wywołanie nastroju było przedmiotem specjalnej troski pisarza i sposobem lirycznego zabarwienia powieści. Ale wówczas właśnie, przy masowej produkcji, ujawniła się różnica między wyrobkiem a mistrzem, którym był taki Żeromski. Niewiele się też z tego ostało. Reszta, z Przybyszewskim na czele „przemienią z wiatrem“, jest więc tryumfem Kraszewskiego czytelność i sugestywność podziścisza jego o tyle starszego utworu, z jego nastrojowością, którą podkreśla jedyny epizod nie wiążący się bezpośrednio z fabułą: opis zamku Białskiego wydaje się wprowadzony umyślnie dla pogłębienia ponurej tonacji i dla nadania żalobnych ram wspaniale pomysłanej i wykonanej opowieści o ostatnich chwilach postaci, żyjącej w legendzie intensywnym życiem rubasznej wesołości, a znikającej z naszych oczu wśród makabrycznej dekoracji zamieszkałego jeno przez wspominki zamczyska, olbrzymiego i majestatycznego grobowca.

Karol Wiktor Zawodziński

*Na marginesie*

## AUTENTYZM „STAREJ CEGIELNI“

W grudniowym numerze „Arkony“ Jan Piechocki poddał analizie jedną z dwóch niezmiernie wysoko przez krytykę cenionych wojennych nowel Jarosława Iwaszkiewicza, „Młyn nad Lutynią“, kwestionując autentyzm sposobu przedstawienia w niej środowiska wielkopolskiego czasów okupacyjnych. Równocześnie jednak dał wyraz przekonaniu, że tło historyczne i środowiskowe „Starej Cegielni“, jako bliżej Autorowi znane, wykazuje wyższe walory autentyzmu.

Niestety, z sądem tym niezupełnie można się zgodzić. Zastrzeżenia, które wywołuje „Młyn nad Lutynią“, wywołuje również „Stara Cegielnia“ i może w wyższym jeszcze stopniu. Oba utwory mają podobne cechy: 1. wysoce artystyczny umiar, 2. wyrafinowany realizm akcesoryjny, 3. przekonywujący zarys psychologiczny postaci wtórnych, 4. wywołujący zastrzeżenia rysunek postaci głównych w sensie historycznym epoki.

Taka główną w tym sensie postacią „Starej Cegielni“, jedynym powiązaniem powieściowego wątku z chwilą historyczną, jest, w dosyć odległym od okupacji Pruszkowie, ukrywany przez

starego Antoniego „Pan Karol“. Dyskretnie trzymany za sceną, ukazujący się rzadko i na krótko, ma w noweli spełnić mniej więcej tę rolę, jaką spełnia „Wiarus“ w Warszawiance, być wyrazem bohaterstwa epoki. Jeżeli jednak byłaby tu pewna analogia artystycznego zamiaru, to równocześnie byłby biegunowo różny skutek przede wszystkim ideowy.

O „Panu Karolu“ wiemy stosunkowo niewiele, lecz dość, by go sobie niejako umiejscowić w warunkach okupacyjnej podwarszawskiej rzeczywistości. A więc jest to „bojowiec“, czy „działacz“ polityczny, uciekający przed pościgiem, w ucieczce lekko ranny w nogę (prze-strzelone udo bez naruszenia kości), którego bezpośredni towarzysze ulegli częściowo wytopieniu, częściowo rozproszeniu.

I otóż ten ocalały bojowiec, kreowany przez otoczenie przy dyskretniej aprobacie Autora na bohatera, w odległości 18 kilometrów od Warszawy przeżywa dramat najdalej idącej izolacji, apatii, zwątpienia, pesymizmu, a równocześnie poczucia biedności wybranej drogi. O jego duchowej postawie mówią wskazania, jakie w pierwszej rozmowie daje wypadkiem spotkanemu chłopcu, tonem tak uroczystym, jaki przysługiwałby Łukaszańskiemu po 40 latach więzienia: „Pamiętaj, żebyś nie był takim jak ja bohaterem. Żebyś żył szczęśliwie... bez żadnych chimery, bez niczego, jak we śnie...“

Nie trzeba zbytnej znajomości warunków okupacyjnych, aby stwierdzić całą nietypowość i fałszywość przedstawionego zjawiska. Znowuż zachodzi to samo, co w „Młynie nad Lutynią“. Być może, że fakt przedstawiony jest nawet prawdziwy, niemniej i w tym wypadku z punktu widzenia historii jest pomyłką. „Pan Karol“ nie jest reprezentantem ani swego środowiska, ani okresu, jest zaprzeczeniem obojga. Podobnie, hedonistyczna formuła: „Nie bądź bohaterem! żyj szczęśliwie! bez chimery!“ — w warunkach okupacyjnych nie jest wyrazem jakiegokolwiek mądrości czy trzeźwości politycznej, jest zwykłym przejawem dość naiwnego egoizmu oraz taktyki usypiania własnej czujności. Cóż tu dużo mówić. Ideałem życiowym „Pana Karola“ jest „Pan Wojciech“. Jest to jednak ideał dziwnie nieprzekonywujący zarówno, dla otoczenia jak dla Autora, równocześnie zaś w warunkach okupacyjnych bynajmniej niezabezpieczony od wypadkowego rozstrzelania, czy pomyłkowego męczeństwa na Majdanku czy w Oświęcimiu.

Czy te niekonsekwencje ideologiczne obniżają wartość artystyczną utworu? — Raczej tak, tym bardziej, że nic nie wskazuje na świadomy zamiar przedstawienia w tym miejscu zjawiska wyjątkowego, czy chorobliwego. Ma to być tylko jak gdyby pogłębienie psychologiczne przeżyć człowieka ściganego i napół pokonanego przez przemoc. Lecz w danym wypadku to rzekome pogłębienie jest jak najbardziej sprzeczne z rzeczywistością, z naturalną postawą tych, którzy w czasie okupacji byli „bojownikami“, czy choćby tylko „działaczami“ w walce i pracy podziemnej.

Po wystawieniu scenicznej przeróbki „Starej Cegielni“ w Toruniu protestowali na łamach miejscowe iprasy toruńscy nauczyciele przeciwko sposobowi przedstawienia w utworze polskiego nauczycielstwa w czasach okupacyjnych w osobie oportunistycznego snoba — „Pana Wojciecha“. Bodajże z większą jeszcze słuszością mogliby protestować złodziejaskowie przuszkowscy w stosunku do poziomu dojrzałości życiowej dwudziestokilkuletniego przedstawiciela ich fachu, z tak dziecięcą naiwnością próbującego odzyskać przychylność pogniwanej panny przez pospieszną recytację własnych i cudzych tajemnic. Niewątpliwie jednak najmocniejsze podstawy miałby protest członków okupacyjnych organizacji podziemnych w stosunku do łatwości zwątpienia w celowości pracy i walki ze strony jedynego w utworze reprezentanta ówczesnej Polski walczącej.

Utwór nowelistyczny może być świetnym utworem nawet w całkowitym oderwaniu od tła epoki i jej ducha. Jednakże musi to na ogół odpowiadać jego charakterowi. „Stara Cegielnia“ jest utworem wybitnie realistycznym. A istotą realizmu nie może być jedynie trafne przedstawienie szczegółów. Musi być również troska o wewnętrzną prawdę treści. Tego zaś warunku „Stara Cegielnia“ nie wypełnia w wyższym bodajże stopniu niżeli krytycznie omówiony w grudniowym numerze „Młyn nad Lutynią“.

B. S.



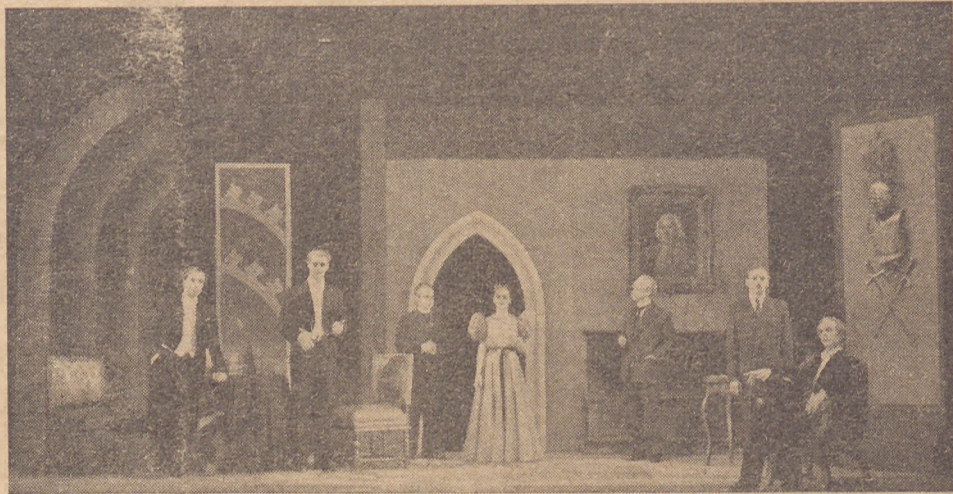
# W KRAINIE POEZJI ŻARTU I WALKI

Znamienny to fakt, że w repertuarze dzisiejszych teatrów najmocniejszą pozycję zdobywają sztuki „problemowe”. Sukces dramatów Zawieyskiego w Krakowie stanowi z pewnością także ilustrację tej tezy. Jeśli wolno uogólnić nasze doświadczenia toruńskie, wypadnie stwierdzić, że nawet obraz przejść wojennych, najbliższych nam, jakby się wydawało, ustępuje przed problemami tak powszechnymi jak prawda życia, sens życia, istnienie sił nadprzyrodzonych, droga do podźwignięcia moralnego człowieka, postawa człowieka wobec cierpienia i śmierci. Te zagadnienia wstrząsają ludźmi najgłębiej i nurtują najdłużej. Stąd oddźwięk sztuk takich jak „Orfeusz”, „Major Barbara”, „Za kulisami” czy wreszcie ostatnio „Magia”.

Ów problem zasadniczy realizuje się w sztuce dramatycznej dwojako: 1) przez postaci, ich konflikty i sposób rozwiązania tych konfliktów, 2) przez utarczki słowne, dyskusje na tematy abstrakcyjne. Ów drugi sposób, bardzo zresztą dla konstrukcji dramatycznej niezbędny, wprowadza do utworu tzw. dialektykę. Stawia ona przed autorem zagadnienia artystyczne bardzo złożonej natury: motywacji dramatycznej, prawdopodobieństwa (rozmowy oderwane muszą jakoś wejść do utworu i wiązać się z sytuacją), zagadnienie języka i jego dramatyczności. Wreszcie względy czysto teatralne ostrzegają przed przeciążeniem sztuki materiałem abstrakcyjnym, niewątpliwie nużącym w dużej dawce i nieraz zabójczym dla scenicznych efektów.

Teatr tzw. realistyczny jeszcze bardziej zwiększa trudności, związane z motywacją dramatyczną — wnosi bowiem wymagania dodatkowe: stworzenia iluzji („tak jak w życiu”). Postulaty iluzjonizmu każą autorom dążyć do największego zbliżenia języka dramatu do języka potocznego — na tle tej koncepcji dramatu dialektyka będzie zawsze odczuta jako wkręt, element obcy i nie usprawiedliwiony. To też nic dziwnego, że szermierze wielkich, abstrakcyjnych problemów wypowiadają się zazwyczaj w formach swobodniejszych, wolnych od obstrzeżeń iluzjonizmu: w utworach fantastycznych. Samo założenie artystyczne pozwala tu wymijać szczęśliwie uroszczenia motywacji realistycznej — pewien rodzaj pytania: dlaczego? Dlaczego ludzie toczą ze sobą abstrakcyjne dyskusje? Dla tych samych (artystycznie) powodów, dla których wchodzi w wehikuł czasu lub wyprawiają się w „Nowy wspaniały świat”.

Związaną dialektyki z powieścią lub dramatem fantastycznym — to zjawisko literackie niemal powszechne w literaturze europejskiej, zwłaszcza może w Anglii. Nazwiska same się narzucają: H. G. Wells, G. B. Shaw, G. K. Chesterton czy A. Huxley — jeśli ograniczyć się do najwybitniejszych. U każdego z nich w utworach tego typu można wyróżnić ten sam schemat kompozycyjny: fantastyczna, nieraz sensoryjna fabuła (podróż, pościg, przygody) tworzy szkielet akcji, na którym wspiera się kon-



SCENA ZBIOROWA Z II AKTU SZTUKI WYSTAWIONEJ W TEATRZE ZIEMI POMORSKIEJ W REZ. WILIAMA HORCZYCY I W OPRAWIE DEKORACYJNEJ LEONARDA TORWIRTA.

Na zdjęciu (od lewej): Zdz. Salaburski (Morris Carleon), Leon Gołębiowski (Nieznamomy), Stan. Libner (Pastor), Irena Maślińska (Patrycja), Lud. Kozłowski (Dr Grimthorpe), Kaz. Brusikiewicz (Hastings) i Przem. Zwoliński (Księżę).

Fot. A. Czarnecki.

strukcja dialektyczna. Każdy epizod akcji służy tylko jako pretekst do dyskusji. (Ten typ powieści sięga zresztą swymi korzeniami w głęboką przeszłość, a na przestrzeni XIX wieku kształtuje się coraz wyraźniej. Za wykrystalizowane już formy powieści dialektycznej można uważać np. „Kulę i krzyż” Chestertona czy „Point counter point” Huxley’a).

W stosunku do powieści dramat komplikuje sprawę jeszcze bardziej ze względu na wymogi teatru. Wkład czystego intelektualizmu musi przejść przez filtr sceniczności. Autorem nasuwają się różne rozwiązania, wszystkie jednak w ramach jednego typu teatru „idealistycznego”, konwencjonalnego: tragedie, fantazja dramatyczna, groteska-komedia. Wszystkie te gatunki cechuje bardzo silny stopień „idealistycznej” deformacji w jednym lub drugim kierunku (poetyckiego, uwznioślającego patosu czy karykatury-groteski). Nieraz w jednym i tym samym utworze oba rodzaje deformacji występują obok siebie. Dwie tonacje współistnieją w sztuce Nowida: „Za kulisami” (połączenie tragedii antycznej o Tyteuszu z groteskową sceną maskaradową). Tak jest i w „Magii”.

„Magia” Chestertona powstała na przecięciu kilku nurtów: poetyckiego żartu i groteski-satury. Splatają się one ze sobą w poszczególnych postaciach i wtkach, przy czym nie można by tu wyróżnić żadnego schematu. Wprawdzie niektóre postaci stałe ciążą ku grotesce (książe, Morris), a na inne (Patrycja) pada zazwyczaj łagodne poetyckie światło, autor zdaje się jednak swobodnie operować tymi dwoma reflektorami. Nie waha się on wydobyc i niemiłe sobie postaci spod ostrego blasku tego drugiego reflektora — karykatury, Morris, doprowadzony do szału zjawiskiem, którego w sposób naturalny nie może wyjaśnić (światło lampy zmienia nagle kolor), naprawdę cierpi — i autor wyłącza go z nurtu groteski. Podobnie na chwilę wyłącza z tego nurtu i Księżę na scenie egzorcyzmów: Książę czyni również obecność złych duchów w salonie i doznaje wstrząsu.

W tej komedii fantastycznej wszystkie postaci są nieco śmieszne: żadna z nich nie nosi uwznioślających koturnów, nawet bardzo sympatycznie potraktowana para bohaterów: Patrycja i Kuglarz. Wszystkie te postaci ogarnia autor spojreniem humorysty — wszystkie podlegają też komediowej deformacji, choć stopień i rodzaj tej deformacji będzie bardzo różny. Żadnego z bohaterów nie uczynił przecież Chesterton ideałem, pozytywną odpowiedzią na postawę relatywizmu czy agnostycyzmu, reprezentowaną w utworze przez Księcia czy Morrisa. Najbliższy autorowi jest niewątpliwie kuglarz — ale i on przecież upada i to na naszych oczach: obraża swoich współrozmówców, unosi się pychą, kłamie, wzywa duchy nieczyste na pomoc.

Deformacja komediowa zaledwie go dotyka — autor nie sprowadza go — jak np. Księcia — do jednego schematu, poprawnie działającego mechanizmu. Kuglarz jest żywym człowiekiem, reagującym rozmaicie zależnie od okoliczności, wewnętrznie wolnym, bo niepodległym żadnym — i z m o m. W tym tylko sensie uważać go możemy za pozytywne przeciwstawienie różnych „izmów”, które usztyniają swoich wyznawców: relatywizm — Księcia, agnostyka — Doktora czy materialistę — Morrisa. To też przez kuglarza objawia się moc żywego człowieka — moc panowania nad siłami nadnaturalnymi.

Wokół tych spraw obraca się problematyka utworu. Jadro jej stanowi niewątpliwie istnienie świata nadprzyrodzonego, problem wiary. Dowód swój przenosi Chesterton metodą „nie — wprost”: sprowadzeniem do absurdu postawy przeciwniej. „Czyciele czerwonej lampy” — racjonalisci, fanatycy wiedzy przyrodniczej, „bigoci ateizmu” — bankrutują. Stają przed faktem, którego żadne dowodzenie ani badanie naukowe nie może objaśnić. Czy zwyciężają „czyciele gwiazd”? Zwycięża po prostu magia miłości, zdolna dźwignąć i umocnić człowieka. Na tym polega dramatyczny „chwyt” Chestertona: teoretycznym doktrynom wybiega na przeciw gorący żywy



strumień ludzkich uczuć — potężnych i naiwnych, śmiertelnie poważnych i bardzo śmiešno objawionych. Moment zdumienia, niespodzianki, niewspółmierność tych dwóch ścierających się potęg stanowi o komediowym rozwiązaniu utworu. Miecz doktrynera miał przesyłać idee — a przychwyciła go ręka żywego człowieka.

Magiczna sztuka z lampą i rodząca się na naszych oczach miłość Kuglarza i Patrycji — to przekrój zdarzeń dramatycznych, przekrój właściwej akcji w tej fantazji. Istnieje jednak drugi pokład, od którego zaczęłam te rozważania: pokład szermierki słownej w dialogach. Oczywiście musi między nimi zachodzić jakaś odpowiedniość — „to, co się dzieje“ w sztuce wywołuje zazwyczaj „to, co się mówi“ — wpływ jest zresztą wzajemny. Spójrzmy na korelację tych dwóch pokładów w „Magii“. A więc historia ze światłem lampy kompromitująca „czcicieli czarnej lampy“, to ilustracja problemu, który staje się ponadto przedmiotem dyskusji, wciągającej wszystkie postaci sztuki. Zasięg tej dyskusji jest zresztą szerszy — pojawia się tu sprawa cudów Mojżesza („aparatury, co zmieniałą laski w węże i tych sprytnych urzędów, które wydobywały wodę ze skały“), potrzeby i pożytku wiary (uzasadnionej pragmatycznie przez Pastora), „bigoterii ateizmu“. Podobnie jak w akcji, tak i tu, na płaszczyźnie dialektycznej, stosuje autor ten sam chwyt „podstawienia“ czy „przesunięcia“ kontrargumentów. Morris mówi o „aparatach Mojżesza“, na co Pastor ripostuje aparatem, „którym została napisana Księga Hioba“. Cierpienie żywego człowieka stałe na przeciw argumentu doktrynera.

Centralne zdarzenie sztuki zostało więc oplecione szerokim pierścieniem dialektycznym. Pierścieni takich znaleźlibyśmy w utworze o wiele więcej. I tak dobroczynna akcja Księcia, wspierającego z reguły przeciwne sobie partie (filozofia „szerszego horyzontu“) staje się znów ośrodkiem takich pierścieni.

Sztukę zaczyna dyskusja o wzorowej gospodzie między Pastorem (entuzjastą wesołej zabawy i umiarkowanego picia) a Doktorem — bojownikiem abstynencji. Z dyskusji tej wyrasta natychmiast dialektyczne starcie dwóch postaw, z których jedna reprezentuje afirmację życia i wszelkich naturalnych jego darów, zaufanie do człowieka, wiarę w jego moc panowania nad sobą, druga (Doktor) — nieufność względem człowieka, a więc prohibicjonizm w zakresie wszelkiej krasy życia. Ten motyw dialektyczny, rozwinięty tu exempli gratia, pojawia się powtórnie w pewnym wariantcie (chodzi tym razem o starcie wegetarian z antywegetarianami), również wmontowany do sztuki w analogiczny sposób (obie strony zwracają się do Księcia o subwencję) i znów wywołuje dłuższą replikę.

Te „pierścienie dialektyczne“, których technikę starałam się z grubsza pokazać, nie wyczerpują wcale układu dialektyki w sztuce. Istnieje tu jeszcze mnóstwo drobniejszych (rozmiarami) motywów słownych, które pojawiają się jak gdyby fragmentarycznie i nie tworzą większych partyj dialogu. Do nich należy np. zapytanie Księcia pod adresem Kuglarza: „A wy czy zajmujecie się nowoczesnym postępiem?“. Odpowiedź brzmi: „O tak. Zajmujemy się wszelkiego rodzaju sztukami, których można dokonać za pomocą złudzeń“. Świetna w swej

wstrzeźliwości riposta przecina rozmowę.

Zresztą postawę Księcia (postawę „absolutnej bezpartyjności“, „szerszego horyzontu“ tj. relatywizmu moralnego) zwalczają zazwyczaj nie dialektyczne ciosy, lecz — zakłopotane milczenie, jakie wywołują jego niespodziewane skojarzenia. Postawa ta łączy się z tak groteskową sylwetką umysłową, że nie wymaga parowania cięć. Dialektyka zwraca się tylko przeciw groźniejszym przeciwnikom.

Istnieje jeszcze jeden rodzaj szermierki słownej, tym razem inaczej nieco zabarwionej: miłosna szermierka między Kuglarzem a Patrycją. Nie trwa ona zazwyczaj długo: oboje szybko składają broń, zwyciężeni tą samą miocą. Jedynie przez chwilę odrzucają sobie słowa lub podchwytyją wyrażenia, jak w scenie wyznania:

— Miss Carleon, czy mogę panią zatrzymać na chwilę? Chodzi o konkretne pytanie.

— Nie wyobrażam sobie, co to może być za pytanie.

— Ja jestem tym pytaniem.

— I cóż mam z nim zrobić?

— Może pani zrobić wszystko. Ja jestem pytaniem, a pani...

— Cóż ja?

— Pani jest odpowiedzią!

Na miłość tych dwojga patrzy zawsze Chesterton z uśmiechem — to też ten motyw, tak ważny dla ostatecznego rozwiązania (biała magia miłości zwycięża czarną magię diabelstwa i wszystkie — izmy), otacza jednak zawsze klimat poetyckiego żartu. Klimat fantastycznej przygody dwojga istot, zabłąkanych w krainie elfów, atmosfera dziecięcej bajki, która staje się prawdą.

Ten akcent zamyka sztukę — żartobliwy gest, wskazujący na otwartą krainę miłości. Poetycki żart — z bardzo subtelnej substancji — wystrzela ponad ostrza skrzyżowanych szpad dialektyki. Wydaje się, że Chestertona uwikłała jeszcze raz „nieprzeparta chęć mówienia żartem“ — prawdy.

Z WYSTAWY REPRODUKЦИИ ARTYSTYCZNEJ  
W POMORSKIM DOMU SZTUKI



PAUL CEZANNE  
Portret Pissarro

Andrzej Bukowski

## POEZJA KASZUBSKA

Skarbiec poezji polskiej nie zawiera kruszców jednego kształtu i jednego koloru: mieni się różnorodnością i różnorodnością. Napelniał się wszak w ciągu długich wieków, z których każdy nasycony był odmienną treścią, innym zasobem myśli i uczuć, bogacił go zaś talenty różnej miary i różnego gatunku. Na różnorodność i bogactwo jego składały się także poszczególne regiony, odznaczające się swoistymi cechami krajobrazu, charakterystycznymi typami ludzkimi, odmiennymi niekiedy przeżyciami dziejowymi.

Dzieło poetyckie związane jest wielu niemi — mniej lub więcej uchwytnymi — z sokami ziemi, która wydała twórcę. Nie sposób wyobrazić sobie na przykład Mickiewicza bez Litwy, Zaleskiego — bez Ukrainy, Lenartowicza — bez Mazowsza, Tetmajera i Orkana — bez Podhala, Żeromskiego — bez ziemi kieleckiej, Kasprowicza — bez Kujaw, Morcinka — bez Śląska, Baka — bez Wielkopolski, Majkowskiego — bez Kaszub.

Każdy z regionów wносił do wspólnego skarbcza to, co miał osobliwego, pięknego i cennego. Jest przeto rzecza niezmiernie interesująca śledzić, jakiego to rodzaju kwiaty poezji wyrastały i wyrastają na krajobrazie geograficznym literatury polskiej.

Tutaj mowa będzie o jednym z tych kwiatów — o poezji kaszubskiej.

Kaszuby! — modry kraik, wsparty o brzeg Bałtyku, usiany tysiącem jezior i rzek, pogarbiony licznymi wzgórzami, otulony płaszczem knieji i borów; rubież Rzpltej najdalej na północ wysuniętej, w ciągu długich wieków niezwiązanej z ośrodkami polskiego życia — kraik do dziś dnia pełen egzotyckości, prawdziwie kraik jakby z bajki wyjęty, położony za górami i lasami...

Tutaj w 18 wieku wyrósł wspaniały twórca „mazurka Dąbrowskiego“, Józef Wybicki. Za jego czasów lud kaszubski, pozabawiony szerszej oświaty, żył zamkniętym życiem wioskowym, przechowując pod strzechami rodzime tradycje i obyczaje. Dopiero w połowie 19-go wieku, po „wiośnie ludów“ — jak wszędzie w Europie — odżyła także u Kaszubów świadomość plemienna, której śladem narodziła się wnet oryginalna twórczość literacka.

Pierwszym z Kaszubów, który chwycił za pióro, był Florian Cenowa. On dał początek i wskazał drogę, chociaż nie posiadał wielkiego talentu literackiego. Po nim przyszedł Hieronim Derdowski, poeta „z bożej łaski“, który swoim poematem „O Panu Czorlinscim, co do Pucka po sece jachol“ przypominał, że nad Bałtykiem żyje zapomniany lud mówiący i czujący po polsku. Trzeci z rzędu pisarz, Aleksander Majkowski, oparł się świadomie na obu swoich poprzednikach, stworzył czasopismo pod nazwą „Gryf“, skupił około siebie inteligencję kaszubską i rozpoczął ruch, nazwany „ruchem młodo-kaszubskim“. Należeli do niego m. in. poeci: Jan Karnowski, Leon Heyke, Izidor Gulgowski i Franciszek Sędzicki. Po pierwszej wojnie światowej twórczość kaszubska zatoczyła jeszcze szersze kręgi, wciągając szereg młodych pisarzy, wśród których najbardziej wyróżnił się dramaturg Bernard Sychta oraz liryk Jan Trepczyk. I dzisiaj, choć tak krótki dzieli nas czas od zakończenia działań wojennych, region ka-



szubski tętni już nowym życiem.

Po stu latach rozwoju literatura kaszubska ma w swoim dorobku kilkadziesiąt utworów, odznaczających się dużą różnorodnością pod względem treści i formy. Obok rzeczy artystycznie mało wartościowych znajdują się wśród nich prawdziwe perły będące ozdobą zarówno kaszubskiej jak ogólnopolskiej poezji.

Jakie są cechy tej poezji? jakie walory? co jest głównym jej nurtem?

Na czoło motywów wysuwa się przywiązanie do rodzinnej mowy.

Kaszubszczyzna w brzmieniu swoim i słownictwie wykazuje dość znaczne różnice z ogólnopolskim stanem językowym i dlatego u niektórych Polaków wzbudza nieraz niepokój co do stopnia pokrewieństwa z polszczyzną. Obawy to płonne! Różnice dadzą się łatwo wytlumaczyć, albowiem są wynikiem odmiennych dróg, po których od wczesnego średniowiecza szedł rozwój polszczyzny i kaszubszczyzny. Jak za czasów lechickich tak dziś znowu mowa kaszubska jest dialektem języka polskiego, dialektem jednakże o wielu specyficznych właściwościach.

Nie ma twórczości bez ukochania języka ojczystego, będącego narzędziem twórczenia. W utworach wszystkich poetów kaszubskich kult rodzinnej mowy snuje się jak nić serdeczna.

Florian Cenowa wołał w latach 67-ych ub. wieku: „Ju je wielgij czas, abe żoden Kaszeba nje vstedel se po Kaszebsku gadac, bo chteren torobji, ten gvesno njęgde nje pomesło, że won je zbóica pręcivko svojemu całemu narodovji. Przeklętym beł, je ji będzie na vječne czasie, co nie czci svojich starszech, jejich move, a trze raze przeklęty chto se vstedzi move macerzinskij“.

Aleksander Majkowski stwierdza z goryczą, że obcy wgnali mowę kaszubską, szaty jej królewskie „oczapele błotem“, szła więc między pola, nie umiejąc wypowiedzieć, co ją boli, i wstydząc się własnego głosu; przytuliły ją wreszcie strzechy wiejskie, z którymi dzieliła odtąd „moje smutcie i uceche“.

Franciszek Sędzicki pisze ze smutkiem, że Polacy wyśmiewają się z prostej mowy kaszubskiej dlatego,

że twardo, za mało fejno i uczono —  
że ni mo dosc dzwięku, szekowne budowe  
i cuzym wierzem mocno poszczerbiono.

Nie wyśmiewaliby się, gdyby wiedzieli, jak ciężkie koleje dziejowej mowa kaszubska przeszła: boć ona

...stała na straże, jak wierny bojownik,  
u granic zachodnich. Nie dzyw, że mo bliźnie!  
...A jak morscie fale, tak zalew germańci  
na nią wciąż nacierał z wschodu i zachodu,  
ni schronić się mogła na dwór moźny, pańsci,  
ni szukać opieki posród murów grodu...

Jan Karnowski, najbardziej utalentowany liryk kaszubski, śpiewa hymn na cześć swej mowy, hymn nieklamany w żadnym słowie:

Znom ciebie dobrze, moja te mowo,  
Twoje jo piersze uczułem słowo!...

Jo ciebie widzę młodą i hożą,  
Jak ciede modrok w złotawym zbożu,  
Choc se odzewosz w słomnianny chace,  
Obuto w zgrzebny, swojsci jes szace,  
Rade cę słuchają kaszebscie kraje,  
Pustkowie, wióście, łacie i gaje.

A jak se smniejsz, to se tak zdoowo,  
Jak ciede skowrónek zaspiewo znowu,  
A jak te płaczesz, to se tak słucho,  
Jak ciede w borze wiatr gdzes chuchoo.

Jo zem se wsluchoł w twoje te zole,  
Ze jinszo śpiewa nic dlo mnie wcolee...

Drugim motywem, który bardzo często odzywa się w wypowiedziach poetów ka-

szubskich — to kraj rodzinny. Nic w tym dziwnego. Jest to zjawisko powszechne. Nie ma bodajże na świecie poety, który by choć jednym wierszem nie uczcił swej ziemi rodzinnej. Kaszuby zaś — to krąk obdarzony tyłu urokami! Jakżeż go więc nie kochać?! — Zastanawiał się Jan Karnowski, jak to się stało, że właśnie ziemia kaszubska obfituje w tak różnorodne piękno krajobrazu i napisał „powiostkę“ o tym, jak Pan Bóg, stwarzając świat, zapomniał wyposażać Kaszuby w piękno i bogactwo ziemi, i jak upomniał się o tę krzywdę Kaszub „amniół miłoserny“, wskutek czego Bóg, ulitowawszy się nad biedną ziemią i wyjąwszy ze swego skarbca

wszetecie złota, dyjamańte  
i ten żółty busztyn rżnięty,  
...strojił pioche płowe  
w modrech gorów pase dładzie,  
jezór perle, srebrne strudzie  
i w to morze busztynowe...

O tym to pięknym, modrym kraiku zapomniał Wincenty Pol, kiedy śpiewał swą „Pieśń o ziemi naszej“. Znalazł słowa zachwyty dla Litwy, Żmudzi świętej, dla Mazurów, Rusinów... lecz nie znalazł ni słowa dla Pomorza. I nie mogli Pomorzanie przeboleć, że tak niesprawiedliwie zostali przez pieśniarza pominięci. Wypomniał poecie tę krzywdę Ignacy Łyskowski, najwybitniejsza postać pomorska 19 w. W wierszu „Do Wincentego Pola“ z r. 1870 pisze:

Piewco polski! kiedyś nuć!  
Gdzie lud polski, czeladź boża —  
Czemuś okiem tu nie rzucił  
Szlakiem Wisły aż do morza?

Na Kaszubach również odczuwano to krzywdzące przeoczenie Wincentego Pola. By zaś brak w „Pieśni o ziemi naszej“ uzupełnić, jeden z poetów kaszubskich, Izydor Gulgowski, napisał „Pieśń o ziemi kaszubskiej“:

A cze znosz te, brace młody,  
Te pomorskie twoje rody?  
Tech Kaszubów, Kocewioków  
I tech Gochów, Borowioków?

Naśladując styl W. Pola, poeta obiega cały teren Kaszub, od Helu po Chojnice, ukazując wszystko, co charakterystyczne, co warte poznania i zapamiętania, wreszcie kończy:

Wolno śpiewać tu każdemu  
W tym kaszubsko-polscim domu:  
Wróg nom Polsci nie odbije,  
Ciej kaszubei naród żyje!

U innych poetów przywiązanie do ziemi rodzinnej wyraża się bądź w słowach podziwu, jak u Derdowskiego, który na początku swego poematu „Kaszube pod Widnem“ woła: „Piękny kraju Kaszubei, zemio obiecano“, — bądź w przeciwstawieniu innym krajom, jak u Majkowskiego i Heyke'go, bądź w licznych odmianach tęsknoty, jak u Karnowskiego. Majkowski, który studiował w Monachium, olśniony był jego pięknnością, zwracał się jednak serdecznie myślą do miasteczek i wsi nad Bałtykiem, pod adresem Monachium zaś stwierdzał:

...Ani dzewcząt twoich uocze,  
ani kuśztów twoich sność,  
ani gór twych biote szczyte,  
naju Kaszub nie przeważą!

Heyke zwierza się z podobnych uczuć:

W innych krajach miłe żecce,  
Luby woni wiosne kwjał:  
Ach tam nie je moi bece,  
Bo to dlo mie czyzy swiat.

Cytowany przed chwilą Karnowski, gdy w czasie studiów znalazł się daleko od Kaszub, tęskni do nich i śpiewa:

Chocy tu w koło wesoly swiat,  
Stodko muzeka zwoni,

Co mnie tam cedzy, pochniacy kwjał,  
Ciede mnie teskniaczka góni.  
Góni mnie zawde ob dzeń i noc  
Borów rzewliwe szum —  
Z polów gdzes woło głosów mnie moc:  
Chade — że, chade do dom!

Tęsknota ogarnia nie tylko samą ziemię kaszubską, lecz także stradę Bałtu, tj. brzeg Bałtyku, oraz żywioł morza. Jan Trepczyk zwierza się:

Woj, tesknyję za biołavim  
Stradę — do voł,  
Gdze mje mujkajaco Bałt  
Chorankji doł.

U tego poety, urodzonego blisko morza, motywy marynistyczne pojawiają się częściej niż u innych. Oto np. motywy „chajji“, tj. burzy na morzu:

Reczą grzemote, pjorene bjią,  
Bałtu waże se szunceją vstec,  
Gulgocą, szemją, z przepadnji piją,  
Noveho chvatu — stolema moc...

Pjorene jidą z morza do tuńca,  
Bo tako mórż je i pjorenów zvecz,  
A chajja veje, veje bez kuńca, —  
Na morzu rebok — żegno svą checz.

Od umiłowania ziemi, mowy i człowieka prowadzi droga bezpośrednio do umiłowania tradycji i historii. Historia Kaszubów nie jest — niestety — usłana różami, pełna w niej bolesnych kołców! Przez cały ciąg dziejów snuje się bowiem czarne pasmo głębokiego tragizmu. Uosobieniem jego — to zły duch tej ziemi: Smętek. Symboliczna ta postać nieodłączna jest wyobrażeniom ludu kaszubskiego, stąd wielokrotnie znalazła wyraz w literaturze kaszubskiej, nie mogła też ująć uwadze genialnej intuicji poetyckiej Stefana Żeromskiego, który ją wspaniale uplastycznił w „Wietrze od morza“. Lecz Żeromski nie był synem tej ziemi — tak jak Aleksander Majkowski, w którego powieści o Remusie ów tragizm dziejowy dźwięczy z każdego niemal słowa. Smętek zaś znalazł dopełnienie w przeciwstawnej postaci Ormuzda-ducha dobrego, reprezentującego pierwiastki heroiczne w Słowiańszczyźnie nadbałtyckiej.

Majkowski, jak zresztą większość poetów i działaczy kaszubskich, był „skrą ormuzdową“, rozgrzewającą śpiącego ducha szczerą Pomorzanką. W wierszu pt. „Pomorzanie“, pisanym w literackiej polszczyźnie, woła:

Ludu mój pomorski, niemy, wykuwany,  
Jak pomnik przedziejowy z skandynawskich  
[głazów,

Piorunami dziejowej burzy poorany...  
Ty jesteś moich marzeń uroczystą wiosną,  
A mojej troski nieprzespaną nocą,  
Tyś jest zwątpieniem moim, — mojej wiary  
[mocą!

W historii kaszubskiej jest kilka motywów, które w szczególny sposób pociągają wyobraźnię poetycką. Należy do nich wspaniała i bohatera postać księcia Świętopelka, będącego emanacją wszystkich możliwości tkwiących w duszy pomorskiej. Drugą postacią — to książę Mestwin II, który układem w Kępnie z r. 1282 doprowadził do zjednoczenia się Pomorza z Polską.

Z wydarzeń dziejowych wyraz poetycki znalazła kilkakrotnie pamiętna rzeź w Gdańsku w r. 1308, dokonana przez Krzyżaków na ludności kaszubskiej. O tym fakcie śpiewa pani Czorlińska dziecku nad kołyską:

Ziuziu, ziuziu, córulenku,  
Zabjele ci ojca w renku,  
Zabjele go ze druzdami  
Toporami żelaznymi.

A w Raduni krwawo woda,  
Szkoła ojca, żeco szkoda!



Jeśli o miasta chodzi, myśl poetów zwraca się najczęściej do Gdańska, który był i jest właściwą stolicą Kaszub, oraz do Oliwy, gdzie w kościele klasztornym spoczywają prochy książąt kaszubskich, w prezbiterium zaś na ścianie wiszą do dziś ich wizerunki. Gdańsk i jego przeszłość znalazły m. in. następujący odzew poetycki w duszy Majkowskiego. Było to jeszcze za czasów zabiercy pruskiego:

Przez się dźwigacie z mgieł wspomnienia  
Szczerbate mury i wieże,  
Gdzie w tajemniczej nocy sklepienia  
Spiają dawni kupcy — rycerze!  
Gdzie każda wieża i każda brama  
I każda murów ruina  
Dostojnym głosem, jak Klio sama,  
Dni dawnych chwałę wspomina...  
Płyn, o Radunio, wszystko minęło!  
Jak dawniej, wieńczy twa fala  
Miasto, gdzie plemię nasze zginęło,  
Jak zjawia, co świeci z dala.  
Może na grzbiecie ty kiedyś zniesiesz  
Mścicieli krzywdy dziejowej —  
I stary brylant na nowo wpleciesz  
W dyadem polskiej królowej...

My dzisiaj — jesteśmy szczęśliwymi świadkami ziszczenia się tęsknot poety: Gdańsk — perła dawnej Korony Polskiej — wrócił do nas, wszedł już bez reszty w obręb naszego państwa.

Jak przytoczone urywki wskazują, w poezji kaszubskiej — co jest najzupełniej zrozumiałe — przewija się głównie uczucie miłości najbliższego rodzinnego krainy — Kaszub, wskazują jednakże równocześnie, że uczucie to nie jest ciasne, że ten patriotyzm lokalny nie przesłania patriotyzmu pojętego w szerszym znaczeniu — patriotyzmu polskiego. W tym związku trzeba tutaj przypomnieć, dość często zresztą przypomniany, czterowiersz, jakby z ewangelii:

Czujcie tu ze serca toni  
Skład nasz apostołści:  
Nie ma Kaszub bez Poloni,  
A bez Kaszub Polsci! —

czterowiersz, którego autorem jest Hieronim Derdowski. Tenże Derdowski napisał wiersz, który stał się potem hymnem kaszubskim — z tekstem muzycznym Feliksa Nowowiejskiego:

Tam gdzie Wisła od Krakowa  
W polskie morze płynie,  
Polsko wiara, polsko mowa  
Nigdzie nie zadzinie...

Inny poeta, Leon Heyke, w radosnej chwili powrotu Pomorza do Polski w r. 1920, wyśpiewał pieśń o zbrataniu — o „bractwie“:

Pomorski Gryf i Urzeź Biały  
Potężnie pełną ponad las —  
I nowy w dzejach jidze czas  
Swobode, szczesco, teze niemalej:  
Hej, Gryfie, hej!  
Ucesku przeszła cen  
I nastoł dzień!

Jak powyżej motyw gorącego przywiązania do mowy, ziemi, ludu, przeszłości historycznej, tak można by z kolei śledzić długi szereg motywów innych, a więc: opisy zwyczajów dorocznych związanych bądź z Gwiazdka, bądź z Nowym Rokiem, bądź z Wielkanocą, — dalej opisy codziennych zajęć w poszczególnych porach roku, opisy różnych przygód itp.

Bliższą uwagę zwrócimy jeszcze na motyw religijny i element humoru, satyry i liryki miłosnej.

Lud kaszubski jest pobożny, mocno przywiązany do religii i kościoła. Byłoby więc rzeczą naturalną, gdyby motyw religijny pojawiał się w poezji często. Tymczasem nie znajdujemy go prawie wcale. To dziwne napozór zjawisko tłumaczy się tym, że Kaszubi uznawali i uznają za mowę kościelną,



MIECZYŚLAW PAWEŁKO  
Kompozycja

za „mowę świętą“ — mowę polską. Stąd uczni nabożnych nie wyrażają w swej gwarze. Derdowski np. uważał, że mowa kaszubska nada się przede wszystkim do humorystycznych opowiadań, „bo poważnie nie łatwo w tym narzeczcu pisać. Niech tylko np. kto spróbuje napisać jaką dłuższą modlitwę po kaszubsku przekona się, że ci, którym ją potem przeczyta, więcej będą skłonni do śmiechu, niż do nabożeństwa“. Wprawdzie rozwój poezji kaszubskiej zaprzeczył temu jednostronnemu stanowisku Derdowskiego, ale pozostaje równocześnie faktem, że poeci kaszubscy unikają motywów religijnych.

Natomiast humor jest zjawiskiem powszechnym i górującym nad innymi, co znowu może wydawać się dziwnym wobec faktu, o którym wspomniano wyżej, mianowicie że nad duszą kaszubską zaciążył Smętek z powodu tragicznych dróg dziejowych. Jednak mimo nieszczyśliwego losu nie zabrakło w duszy kaszubskiej miejsca na jasne promienie, na złote ziarna radości, wesołości i humoru. Głównym jego przedstawicielem jest „Igorz“ Hieronim-Jarosz Derdowski, u którego wyraża się on w sposób tak samorodny i żywiołowy, że zaliczyć go trzeba do rzędu największych humorystów polskich. Fantazje posiadał iście sowizdrzalską, uśmiech wykwiłał na jego obliczu w momentach nawet najbardziej poważnych. Jego epos humorystyczny „O panu Czorlińskim, co do Pucka po sece jachoł“ tak się zaczyna:

Druche, chyże le nadstawta bliży wasze usze,  
Bo jo wama pełną ksząkę zara nałgac musze.  
Nie wiem, jak ne igróske mesle ze iba se [wewija].

Ale wama o Czorlińscim zelę historyją:  
Co on wezeł, cieję do Pucka jachoł roz po sece —  
Jedno smnioc sę wama będzie, drudzie pńakac [lece].

W zakresie satyry najlepsze rzeczy dał Aleksander Majkowski, pisarz wielostronny, który z rzadka tylko tworzył poezje. Urodził się w małym miasteczku, w Kościerzynie, której mieszkańców poznał na wyłot, przejrzał ich zalety i wady. Te właśnie wady chłoszcze w szeregu utworów, objętych wspólnym tytułem: „Z małego miasta“.

Liryka miłosna najobficiej pojawia się u Leona Heyke'go, który pozostawił kilkadziesiąt utworów, opartych na motywach erotycznych. Nie będzie zapewne pozbawiony pewnej atrakcyjności szczegół, że pisał je student teologii. Poezje Heyke'go są proste, niewyszukane, pełne szczerości. Przedmiot swego uczucia nazywa „miluszyką“:

Jak jo pierwszy roz ce uzdrzoł,  
Serce zadergało,  
Fala obleca mie szczesco,  
Nowy życe grało.  
I jo gnoł na letki stopie  
Poprzez bór na pole,  
Gdzie jo uzdrzoł miluszyński  
Moła checzę w dole.  
I jo stoł i zdrzoł na ciebie  
Skrety w gęsty drzewa,  
Jak te z checze wechodzera —  
Nopiękniejszo dzewa.

Miłość poety snuje się pogodnie, nie ma wiele zawodów, zadrażeń, bólów. Nie tak szczęśliwie wiodło się Karnowskiemu, który do swej Hanka zapłonął prawdziwie gorącym uczuciem — uczuciem niestety nieodwzajemnionym. Stąd jego liryka napełniona jest smutkiem i goryczą: Kiedy Hanka śpiewa lub gra, dusza jego promienieje, ale potem zjawia się refleksja, że przecież to nie dla niego:

Nie smiem patrzec w moji męce  
W twoje oze jasne — —  
Twoji dusze dołbem ręce,  
Nim ta tęcza zgasnie.

Również Derdowski, ten Igorz, kpiarz człowiek złotego humoru, nie kochał się szczęśliwie. Zachowało się kilka jego listów miłosnych, a w jednym z nich wiersz, w którym czytamy:

Od niedzieli do niedzieli  
Czekam listu od Marceli,  
Od Marysi mej Bogdanki,  
Najpiękniejszej Chełminianki.  
Najśliczniejsze rączki w świecie,  
Czemuż do mnie nie piszecie,  
Czy paluszki wstręć już bierze  
Płasać dla mnie po papierze?...

Poeta doszukuje się w sobie winy, wspomina jakieś „stare grzechy“, które Bogdanka powinna mu przebaczyć:

Stare grzechy nie powrócą,  
A w powietrzu ptaszki nucą:  
Hieronim kocha Marcelę,  
Oj wnet będzie i wesela.

Wesela jednak nie było, nie spełniły się nadzieje, że Marysia za przewinienia da się przebłagać. Nie o przewinienia zresztą chodziło, Marysia poprostu nie chciała literata-poety, jeszcze więcej zaś nie chcieli go jej rodzice. To właśnie było jedną z wielu przyczyn, że Derdowski opuścił Pomorze i przeniósł się za ocean — do Ameryki, by tam szukać lepszego szczęścia.

★

Dobiegliśmy końca naszej ogólnej, z konieczności powierzchownej analizy.

Jak widzimy, poezja kaszubska w skromnym zakresie zawiera to wszystko, co każda poezja, a więc: umiłowanie przyrody, człowieka, jego mowy, oraz szerokiej skali jego uczuć. Wprawdzie to wszystko rzucane jest na tło krajobrazu kaszubskiego, nie jest jednakże ograniczone do regionalnego wyłączonego zakresu. Wyobrażenia i uczucia sięgają dalej, obejmują całą Polskę, nierazko też całą ludzkość. To spojrzenie przez pryzmat regionu na zagadnienia ogólne podnosi ocenę poezji kaszubskiej.

Jest ona poza tym jedynym zewnętrznym, utrwalonym wyrazem duszy ludu kaszubskiego, stąd dla samych Kaszubów stanowi wciąż żywe źródło podniecia w pracy twórczej, w pracy społecznej i kulturalnej. Do kultury ogólnopolskiej zaś wnosi nie tylko cenny materiał poznawczy w stosunku do tego ludu, od wieków mieszkającego nad Bałtykiem, tak mało dotąd znanego, lecz także wzbogaca znacznie skarbnicę naszej literatury narodowej wartościami językowymi, nowymi motywami, wreszcie — co najważniejsza — szeregiem utworów o nieprzeciętnych i nieprzemijających wartościach artystycznych.

Andrzej Bukowski



Przywykliśmy naszych „narodowych świętych“ czcić w ich rocznice. Przed i po roku jubileuszowym może być ciemno i głucho, byle „obowiązek“ został wypełniony. Byłoby rzeczą przykrą, gdyby tak stało się również w wypadku przypadającej na rok bieżący 10-tej rocznicy śmierci Karola Szymanowskiego. Zdaje się jednak, że obawy te są nieco „na wyrost“, że w brew powyższej tradycji Rok Szymanowski przejdzie nie bez trwałego wpływu na nasze społeczeństwo.

Zrozumienie tej „trudnej“ muzyki, o której tu chodzi, wypłynąć może prawie jedynie ze zbliżeń, z osobistych z nią kontaktów. Głośnik zastąpi je w niedużej mierze — droga do poznania muzyki autora *Kurpiowskich Pieśni* prowadzi przede wszystkim poprzez zbliżenia koncertowe. Tutaj organizatorzy życia muzycznego mają zasadnicze pole do popisu. Weale niełatwa jest rzeczą urządzić koncert poświęcony w całości muzyce Szymanowskiego. Będzie już dobrze, jeśli — jak to obserwujemy np. w środowiskach pomorskich — do mieszanych programów koncertów i recitali włącząc się będzie systematycznie choć po parę drobnych utworów Szymanowskiego z repertuaru pianistów, skrzypków i śpiewaków. Nie każdy ośrodek pozwolił sobie może od razu na „Harnasie“ lub „Stabat Mater“, to też ta droga — na miarę możliwości — w wielu wypadkach będzie nas musiała zadowolić.

Poznań — obok „Harnasiów“ zdobył się już na koncert symfoniczny, i czwartej literacki poświęcony Szymanowskiemu. Plotki krążą, że na jesieni spodziewać się można w operze „Króla Rogera“. Społeczeństwo dwu zasadniczych środowisk muzycznych na Pomorzu — Gdyni i Bydgoszczy kieruje swój wzrok na Filharmonię Bałtycką i Bydgoską Orkiestrę Symfoniczną — w oczekiwaniu koncertu — i chyba nie spotka go zawód. Klub Literacko-Artystyczny w Bydgoszczy zapowiada w ramach swych *śródmiejskich* wieczór literacko-muzyczny.

Otóż do powodzenia pracy muzyków-organizatorów wydajnie przyczynia się świat literacki. Bez współdziałania w akcji popularyzowania pojęcia „Szymanowski“ wysiłki muzyków zawisłyby w próżni. Dlatego też tak zasadnicze znaczenie miał naprawdę piękny numer „Odrodzenia“ z Iwaszkiewiczem, Dąbrowską, Makuszyńskim, Chybińskim, Jachimeckim, Drzewieckim, Stromengerem, Kubackim i tylu innymi. Bo jeśli o „dziejach przyjaźni kompozytora i poety“ pisze arcyciekawie St. Gola-chowski w „Ruchu Muzycznym“, — to rzecz ta niestety nie dotrze daleko poza fachowców. Specjalny numer „Odrodzenia“ z pewnością wypełni określone zadanie społeczne, dotrze — na miarę potrzeby.

Już i z tego punktu widzenia, na rzecz dotychczasowych osiągnięć „Roku“ zapisać należy tę nieledwie powódź artykułów we wszystkich prawie „kolumnach literackich“ centralnych jak i najgłębiej prowincjonalnych pism codziennych, — jakie przyniosła sama rocznica (29. 3.). Nierzadko i tu wyłuskać można było artykuły weale nie szablonowe, niektóre z nich wniosły wyraźnie pozytywny wkład.

Ciekawe, co ujrzymy na łamach tygodników literacko-artystycznych. Wydaje się, że po tak gruntownym „wyeksplorowaniu terenu“ przez „Odrodzenie“ trudno będzie doczekać się czegoś w najbliższym czasie. Zato wiele nadziei pokłada się w wyglądane z prawdziwym zainteresowaniem, a zasygnalizowane już przez Polskie Wydawnictwo Muzyczne dwa tomy wspomnień o Szymanowskim: Jarosława Iwaszkiewicza („Spotkania z Sz.“) i autora pomysłu i scenariusza do „Harnasiów“ — J. M. Rytarda („Wspomnienia o Karolu Sz.“). Równocześnie na innym odcinku wydawniczym — wydawnictw nutowych — Polskie Wyd. Muzyczne wystąpiło z ważnymi pozycjami, puszczając na rynek parę drobnych utworów Szymanowskiego. Muzycy wiedzą dobrze, jak dotkliwą była dotychczasowa luka w tej dziedzinie.

Zdaje się, już dziś mamy prawo sądzić, że Rok Szymanowski nie przemienie nie to, że bez echa, — bo to już jest, — a bez trwałego śladu.

„WRZESIEŃ“  
Olej

Wojciech Żukrowski

## POTYCZKA

## FRAGM. POWIEŚCI O KAMPANII WRZEŚNIOWEJ PT. ODWRÓT

— Bateria ognia! krzyknął opuszczając ramię. Działa podskoczyły, lysnęło się. Nagrzane upałem powietrze, duszne od woni żywicy i zeschłej macierzaneki rozdmuchnęło szczyty starych sosen. Konary na spłowiałym niebie rozchylili się gwałtownie, odepchnięte przelotem pocisku. Stęknął basem las. Złotawy kurz, uwiedle igły i rude płatki łuszczącej się kory zawirowały w powietrzu.

W przodzie sypnął się niecierpliwy klekot broni maszynowej. Falami wznosił się to przygasał, krótki trzask granatów ręcznych brzmiał jak okrzyki zachęty Widać podpuszczono Niemców blisko, Resztki 117 dywizji próbowały utrzymać przeprawę.

— Pokrop ich trochę szerzej, parsknął okruszynami chleba por. Maćkowiak. Przykucnięty nad toruistrem żuł suchy razowiec, wypływając igły spadające suchym deszczem.

Andrzej zrozumiał tylko szerokie machnięcie ręką. — Powiększyć rozwinięcie! — krzyknął komendę. Byłby go ucałował.

Dziesięć minut temu brnąc w tłumie rozproszonych kompanii, dojrzał jak między drzewa zajeżdża bateria, zajmując stanowiska. Już pionierzy ścinał drzewa, otwierając luki przed lufami. Kanonierzy otwierali łódki nabojoye. Haubice! Ogarnęła go prawdziwa gorączka! Trudno będzie mu zdobyć zaufanie obcych oficerów. Ale haubice! Krótkie, przysadziste, świecące u zanków od oliwy. Już miał w uszach ich chrapliwy bas bijący po hełmach jak pięścią z brązu. Szczękały otwierane zanki. Kanonierzy w ramionach piaszowali pociski, które ostrym nosem zapalnika wietrzyły przed strzeż i lot. Jeżeli nie wezmą go na funkcję oficerską, która mu przysługiwała, zostanie działonowym, amunicyjnym, nawet jeźdźnym... Byle już nie błąkać się wśród obcych taborów. Byle raz przykleić się, wrosnąć w masę. Mieć swego dowódcę i swoich żołnierzy, słuchać i wydawać rozkazy!

Zadecydowała lornetka, którą dostał od por. Świstackiego na fortach w Rożanie.

— Zostanie pan z nami, powiedział kap. Tumaniszewi. Bruatna spalona twarz Gruzina, podobna do zaciśniętej pięści rozpogadzała się powoli. — Ale paniętaj pan, tu 7-a Bateria z Rembertowa, trzeba trzymać fason i po śmierci.

Andrzej stał wyprostowany, napięty jak do przysięgi. Więc już koniec włóczgi, której pamięć paliła jak policzek. Już poza nim ucieczka w rozsypane, odwrót w chmurze kurzawy. Pamiętał krótkie godziny snu, gdy zrywał się przerażony ciszą, w lęku, że go gromada odeszła... Widział jak żołnierze lażili po sianie na czworaka, sprawdzając czy są jeszcze oficerowie... A może uszli, zostawiając ich bezradnych, zablakanych w kleszczach następnego wroga.

Właśnie nadjechało auto pułkownika. Piechota żądała ognia.

— Jędę na punkt! Obejmij pan baterię! Postrzelamy sobie! — pełną go ku stanowiskom kapitan.

Andrzej podniósł ramię.

— Na moją komendę, krzyknął głosem łamiącym się ze wzruszenia — Bateria do dział!

Zaczynała się bitwa.

★

Od trzech kwadransów Niemcy przekroczyli Bug. Po moście pontonowym, osłoniętym wysokimi brzegami i młodą brzezią, pół godziny temu przeszedł batalion i kurzył ryjąc umocnienia. Przed nimi opadał łagodny stok piaszczystego pastwiska, porosłego kępami żarnowca. Dalej były lasy otwierające się półkolem. O kilometr na lewo bielą się opustoszała, pozamykana osada Kamień. Mieszkało tam paru kolonistów niemieckich. Nie wiedzieli jeszcze za kim się opowiedzieć, przytuli się po ogrodowych piwniczkach.



Resztki 207 pułku, zgrupowania „Je-  
leń”, który wczoraj o zmierzchu przepra-  
wił się przez Bug, wypoczywały na skraju  
lasów. Oczekiwano rozkazów. Dwa bata-  
liony posiłkowe miały lada chwila nadejść.

Nieprzyjaciela spodziewano się od Mał-  
kini i w tamtą stronę pchnięto patrol. Puł-  
kownik Broszkiewicz chciał dać wojsku, po  
trzech dniach zażartych walk, trochę spo-  
czynku. Strzelcy leżeli w cieniu sosen, kuchi-  
nie kopały pogodnie. Syci pierwszy raz od  
tygodnia, w szumie igliwia zasypiali.

Koło jedenastej, na szosie leśnej, w sa-  
mym środku drzemających wojsk, kapral  
łączności zastrzelił niemieckiego motocykli-  
stę. W parę minut potem zameldowano ko-  
łunę, która przekroczyła Bug i szła na  
skrzydło Polakom. Żołnierze dysząc: —  
Niemcy! Niemcy! — biegli lasem, łamali ga-  
łęzie, ustawiali karabiny maszynowe. Obu-  
dzone kompanie przypadały na skraju, przy-  
czaiły się za grubą palisadą pni sosnowych.

Przez most skrzypiący w wiązaniach,  
chlapiący wodą spod żelaznych pontonów,  
przejeżdżały pierwsze czołgi. Kompania na  
przyczółku porzuciła rycie okopów, ciska-  
ła faszynę pod żelaza gasienic, wrzynające  
się w piaszczyste podejście.

Kilkanaście aut po naszej już stronie bra-  
ło piechotę, zbity w zielonawe mrowiące  
się kłęby. Żołnierze spokojni, pewni siebie  
porozsiadali się na pagórkach, karabiny  
wspierali między kolana i śpiewali. Trójka  
motocyklistów stała może pięćdziesiąt me-  
trów od pierwszych drzew, czekali aż się  
reszta kolumny ustawi. Dwa patrole odeszły  
już w las.

Gdy łazik kapitana Tumaniszewego przy-  
stanał za krzewami, jacy stali już ziemiście  
bladzi z podniesionymi rękami. Zgarnięto  
ich bez strzału. Nie spodziewali się Pola-  
ków. Przysięgali, że czołówki ich armii  
sięgnęły wczoraj Warszawy. Kapitan par-  
sknął śmiechem: — Łgają, chcą nas nastra-  
szyć, mrugnął porozumiewawczo do wartow-  
ników. Niemiec opuścił omdlałe ręce,  
wspart splecione dłonie na rozgrzanym u-  
bawem hełmie.

Nagle padł pierwszy strzał. Któryś  
z żołnierzy nie wytrzymał. Kolumna pewna  
bezpieczeństwa właśnie nabierała rozpędu.  
Motocykliści minęli przyczajoną tyralerę  
tak blisko, że podch. Kamiński leżący tuż  
nad rowem widział nieogoloną grdykę wy-  
sokiego podoficera, który siedząc w przy-  
czepce wodził lufa po krzakach, próżno  
szukając przeciwnika. Grdyka porosła ru-  
dawym włosem jarzyła się nad białawą  
sznią wystającą z rozpiętego kołnierza.  
Niemiec lękał ze wzruszenia śline. Jechali  
bardzo wolno, prawie mijali podchorążego,  
gdy pociągnął za spust.

W tej chwili spodem lasu błysnęło się.  
Huknęła salwa, posypały stukające pospie-  
sznie wystrzały, jak kasztany otrząsane na  
blaszane dachy altan.

— Dublet, krzyknął w ucho podchora-  
żemu szczupły, nerwowy por. rez. Trepka,  
widząc jak obaj Niemcy sennym ruchem  
obejmują się ramionami i zawisają pochy-  
leni nad skrzyżowaną kierownicą.

Buchnął koło nich, jak wybuch prochów  
żłkniętych płomieniem już nie — hurra! —  
ale nieludzki wrzask, od którego przecho-  
dziło urozeni. Z całego lasu, roztrzącając  
gałęzie, wypadały Polacy. Coraz nowe auta  
dobijały ciasno. Niemcy zeskakowali z nich  
wprost na bagnety. Nie próbowali oporu,  
ciskając broń gwałtem ku rzece. Ranni patrzyli

otępiąłym wzrokiem na rany broczące ob-  
ficie, świetliste w słońcu jak świeżo cięte  
kwiaty. Wielu osłaniało twarz przed butami  
biegnących. Wtedy nasza artyleria zaczęła  
bić po przeprawie.

Ten poryw, który dźwignął podch. Kam-  
lińskiego i ścina teraz jego brzydka, szeroka  
twarz w ociekającą potem maskę gniewu  
i nienawiści, każe mu biec w pierwszym  
rzędzie. Popycha go na grupki Niemców,  
opierające się jeszcze nad wodą. Są to  
krótkie zwarcia, wprost roztrąca ich ba-  
gnetem, nie słyszy bliskich wystrzałów,  
ostrze wilgotne i śliskie przenika łatwo  
ciała.

Wzburzony wybuchami piasek dymił jak  
kadzielnica. Cieniutkie pasma dymów kład-  
ły się na powietrzu. Granat uderzył  
w most, trysnęła woda, puszczaly wiązania.  
Ponton od pontonu oddzielał się niechętnie,  
spływając z prądem. Z nawpół zatopione-  
go czołgu, jak na samotnej wyspie, dwaj  
usmoleni żołnierze podnosili błagalnie ręce.  
Ręczne granaty odbijały się od klapy wie-  
życy, wybuchając słupami wody. Niemcy  
nie otwierali ognia, bali się o swoich. Auta  
po drugiej stronie nie rozjechały się le-  
szcze, strzelano do nich jak do tarcz.

Pułkownik Broszkiewicz przewiduje na-  
wafę. Żołnierze cofają się niechętnie. Włoka  
motocykle i rowery, wracają obwieszeni  
zdobyczą. Jeńców klepia po ramionach, czę-  
stują papierosami. Dzięki nim czują zadowo-  
lenie zwycięzców. Ale w głębi lasu ściągnię-  
to już kuchnie, tabory uchodzą w hoczne  
dukty.

Nad lasem ukazują się srebrne obłoczki  
szrapneli, miewy lecące w oczekiwaniu  
powodzi. Słychać tępe odetknięcie w po-  
wietrzu i wiązka ołowianych lotek sęczy  
gałęzie. Ścigani ogniem, łamiącym wierz-  
chołki sosen, zapadają Polacy w las.

Pułkownik widząc wybuchy łażące po  
polu, usniecha się pobłażliwie. — Wiedzia-  
łem, że nas spędza, mówi do oficerów. —  
Trzecia kompanie niech pan rzuci w tamto  
zagłębienie nad brzegiem, wskazuje por.  
Trepce rów zarosły wiewnacą łoża. — Bę-  
dziecie poza obserwacją. Zostańcie do wie-  
czora, a jak was nie zepchną, do świtu.

Binokle na ostrym nosie por. Trepki drżą  
jak skrzydła ważki na gałązce kopru. Ostat-  
nich rannych wnoszą właśnie na płaszczach,  
gdym kompania przebiega pohojowisko  
i przypada w rowie. Trupy wrogów nie ra-  
żą jeszcze martwo, może trochę niepokoją  
niewygodnymi pozami. Na wzgórkach jak  
na pierwotnym ołtarzu płonie czołg. Tłu-  
stym dym, śmierzdzący spalonymi włosami  
bije w wyblakłe niebo. Dźwiga się powoli  
czarny kłęb i zostaje trwały, nierozpuszczal-  
ny, jak przebiegająca powoli palcami dłoń  
konającego.

Pułkownik pozostaje na skraju lasu. Po-  
ciski przenoszą z cichym sapaniem. Żoł-  
nierze już są bezpieczni. Plecami oparty  
o pień duma nad mapą. Wreszcie woła  
dowódcę baterii.

— Czy nie mógłby ich pan przygasić,  
mówi do kapitana Tumaniszewego, wska-  
zując palcem drugi brzeg, skąd nadlatują  
pociski.

W tej chwili urywa się ogień armatni.  
Potem osiem pocisków wyrównanych jak  
krok piechlura na defiladzie uderza w środek  
pohojowiska.

Po nas jeszcze poprawiają, śmieje się  
pułkownik, ale już pełen niepokoju szepcze

## Sprawy miesiąca

STO WIECZORÓW LITERACKICH

Bratnie Kluby Literacko-Artystyczne w Byd-  
goszczy i Toruniu w swej dotychczasowej po-  
wujennej działalności osiągnęły swego rodza-  
ju rekordu. Dnia 5 lutego Bydgoszcz obcho-  
dziła odczytem prof. Konrada Górskiego o Mi-  
ckiewiczu swoją 50-tą „środę literacką”. Dnia  
20 marca na 50-tym z rzędu toruńskim  
„czwartku literackim” dr Wacław Kubacki mó-  
wił o twórczości Mauriaca.

Jeśli się zważy, że zdrowa tradycja wie-  
czorów literackich potrafiła w obu miastach  
wytworzyć prawdziwie liczną (bo np. w Byd-  
goszczy przekraczającą raz po raz cyfrę 500  
słuchaczy jednej „środy”) warstwę zaprzysię-  
żonych miłośników literatury, na których  
zawsze można liczyć, — to osiągnięcie obu in-  
stytucji nazwać trzeba poważnym. Najlepiej  
może ocenić to zdołają organizatorzy podob-  
nych imprez w pokrewnych środowiskach. Bądź  
co bądź, Pomorze wyprzedziło w tym wzglę-  
dzie — o ile nam dobrze wiadomo — Wrocław,  
Katowice, Kraków i Poznań.

### ZJAZD HISTORYKÓW POMORZA

Wielce zastrżone, posiadające za sobą sze-  
reg lat pionierskiej działalności Towarzystwo  
Naukowe w Toruniu, zorganizowało w ostat-  
nich dniach lutego br. ogólnopolski zjazd  
naukowy historyków Pomorza. We wspólnych  
obradach zjazdowych uczestniczyło wielu wybit-  
nych przedstawicieli tej dziedziny badań. Jako  
cel obrad, przyjęto zorientowanie się w dotych-  
czasowym stanie badań historycznych na tere-  
nie Wielkiego Pomorza, dla ustalenia opartego  
o realne możliwości (biblioteki, archiwa) planu  
pracy na okres najbliższych lat.

### WYNIKI PLEBISCYTU

Wśród powodzi ogłaszanych ostatnio przez  
prasę literacką ankiet i konkursów, najszer-  
szym echem odbił się konkurs-plebiscyt czy-  
telników „Odrodzenia” na najlepszą książkę  
minionego roku, za którą uznano, jak wiadomo,  
Wojciecha Żukrowskiego „Z kraju milczenia”,  
a dalej powieść T. Brezy i opowiadania  
J. Andrzejewskiego. Wynik zdaje się, nie  
przyniósł szczególnej niespodzianki, — książkę  
Żukrowskiego od samego początku towarzyszyła  
sympatia w kręgach czytelników i krytyków.

Do zastanowienia pobudza raczej wynik ple-  
biscytu, jeśli chodzi o zupełnie dalsze miejsca.  
Niepokojący jest brak paru zasadniczych pozycji  
z minionego roku wydawniczego, na rzecz  
utworów białych, jak i zupełna nieobecność  
poezji.

### PRZYPOMINAMY ROCZNICĘ

W roku bieżącym mija sto pięćdziesiąt lat  
od chwili narodzin bojowej pieśni Legionów  
Polskich we Włoszech. Autorstwo naszego  
hymnu narodowego przyznane zostało osta-  
tecznie Józefowi Wybickiemu, który równo  
dwieście lat temu — w roku 1747 urodził się na  
Pomorzu.

W najbliższym czasie ciekawej postaci poe-  
ty i publicyści, pedagoga, dyplomaty, senatora  
i żołnierza — poświęcimy osobne studium —  
tymczasem szkołom i prasie przypominamy  
rocznicę.

### POWIEŚĆ O NIEMCACH

W 12 numerze „Arkony” z ub. roku druko-  
waliśmy fragment nowej, niewydanej powieści  
Jana Dobraczyńskiego pt. „Najeźdźcy”. Rze-  
cz ta w ostatnich tygodniach ukazała się na pół-  
kach księgarskich.

Nowa powieść Dobraczyńskiego ciekawa jest  
przede wszystkim z uwagi na swój problem za-  
sadniczy: synteza dziejów najazdu hitlerow-  
skiego na Polskę — przeprowadzona od strony  
„najeźdźców”. O ile udało się śmiało zamie-  
rzenie zrealizować w formie literackiej? Dotych-  
czasowe wypowiedzi krytyków na ten temat są  
dostyć surowe, choć rozbieżne. W najbliższym  
numerze wrócimy do „Najeźdźców” w szczegó-  
łowej recenzji.



— Patrz pan! Cholery! Palce przez mundur łapią skórę, szczypie bezwiednie kapitana w ramię.

Druga seria pocisków obramowała rów, w którym leży kompania.

\*

Porucznik Trepka krzyczy: — Leżcie chłopaki, nie wam nie będzie! Wkliny naszym dym wybuchów. Już cały rów kipi. Żołnierze przewierają do brzośców, zaciskają w palcach wiechcie traw przestają oddychać. Czasem pomiędzy grzmotem pękającego granatu, w krótkiej, dławiącej łuzie bez powietrza, słychać wysoki, monotonny krzyk kaprała, który z przerażeniem patrzy na kałużę krwi wyciekającej mu z pachwiny. Nie czuje bólu, ale krew, której nie może zatamować budzi w nim przeraźliwy żal za życiem. Wyje: — Sanitariusz! De mnie sanitariusz! Ale ten, Żyd, leży skulony, brudno biały. Sam krzyk przyprawia go o mdłości, a cóż dopiero krew. Kiedy podch. Kamliński trąca go łufą Visa, nakryty dymem wybuchu sanitariusz podnosi twarz o kolorze stonogi. Narzygał ze strachu pod siebie.

— Tylko chwilę jeszcze wytrzymać! Chłopcy! — woła porucznik. — Ogień musi nas przeskoczyć! Nagle zdaje mu się, że po drgnięciu powietrza dojrzał wjeżdżający pod niego pocisk. Bije czołem w piach. Ziemia rozkwała wybuchem, powiało im po warzach płemieniem. Porucznik ma ręce no łokcie zasypane, boi się ich wyciągnąć, krztusi się wypluwając kwaśny dym prochowy.

Odwracając głowę, jak koi na widok bieża, słysząc gwizd nowego granatu, rzuca się w stronę odległego łubinu, wołając — Skok! Za mną!

Już leca wszyscy. Dwieście metrów w prawo kłębi się ogień. Teraz mogą oddychać. Razem z oddechem nachodzi ich strach.

— Na co my tu czekamy? Żeby nas wybili? — woła jeden szarpiąc zębami opatrunek.

— Tu nikt nas nie wypatrzy, tylko leżcie spokojnie. Łagodzi ich porucznik. — Wysoki brzeg osłania nas od Niemców, nie mogą nas dojrzeć! Już najgorsze minęło.

Za nimi las, w który odeszła piechota, na lewo wyludnione domki osady Kamień świecą w słońcu białymi ścianami.

Wtem ogień ustał. Cisza trwa nie dłużej niż na zawiazanie owijacza. Wybuchy suna ku piechocie. Zbliżała się w stronę łubinu. Każde stąpnięcie czuła brzuchem i pierś pod która ziemia drga. Nagle granat uderza między czterech strzelców leżących ciasno, jakby w gromadzie szukali bezpieczeństwa.

— To tam, woła ktoś, i otwierają bezładny ogień w stronę nadbrzeżnych łóz, próbują strzelanina zagłuszyć strach. W krzakach nie ma nikogo. Spada nowa salwa. Siedmiu zabitych. Porucznik Trepka szuka binokli, kładzie w te czynność całą uwagę, byle tylko nie uciekać.

Któryś z rannych słysząc nadlatujący pocisk, zrywa się, krzyczy: Zdrada! Gna teraz w stronę lasu. Granat wybuchł mu pod nogami, roztopia się w dymie jakby tajał. Już reszta strzelców ulega panice,

uciekają z przeklętego miejsca. Wybuchy zastępują im drogę.

Porucznik wstaje ostatni. Znalazł wreszcie binokle. Palce mu tak drżą, że łamie szkła, próbując je na nos nasadzić. Idzie zygzakiem ku sosnom, gdzie stał pułkownik ze sztabem. Niewidzialny wróg łamie nad rozbity kompanią gałęzie, jak kruszono nad grobem drzewca sztandarów.

Kapitan Tumaniszwili kołysze nogami na konarze. Dotąd kierował ogniem baterii ustawionej w lesie. Aparat nie odpowiada. Psztyka palcem w membranę słuchawki, dmucha, stuka o pień. Bateria milczy. Zły zaczyna powoli złaźić, drapać korę ostrogami.

— Przerwali mi, usprawiedliwia się przed pułkownikiem.

— Musza mieć po naszej stronie obserwatora, widziałeś jak nekali kompanię?

Trzy kroki za nimi leżą ranni Niemcy, których jeszcze nie uprzatnięto, teraz podprowadzają krwawiących strzelców z rozbitej kompanii. Porucznik Trepka podchodzi ostatni. Długo salutuje. Czuje to, co wszyscy żołnierze — bezsilność i wściekłość. Nie wie, że łza gniewu spływa mu spod drzazgi powieki. Otwiera usta powoli, jakby każde słowo sprawiało mu trudność. — Nie mam już... Stać jakby dopiero teraz pojmuwał i krzeczy w twarz oficerom: — Zdrada, panie pułkowniku!

Zatacza się. Widząc kapitana lekarza, który kłęczy i rozmawia z opatruwanym Niemcem, wyszarpuje rewolwer i strzela mu w plecy. Oficer pada. Niemiec wydać pisk jak rozdeptana mysz.

— Co pan zrobił, potrząsa nim kpt. Tumaniszwili.

— To zdrajca, bełkocze, to zdrajca! Słyszeliście mówić po niemiecku!

— Ja go znam od lat! To doktor Opieński!

— Ty też jesteś zdrajca, krzyczy porucznik nieprzytomnie i strzela mu w pierś. Nie trafia. Oficerowie łapia go za ramiona, wdzierają rewolwer. — Wszyscy jesteście zdrajcy, wyje szalenie żołnierze na pomoc! — krzyczy do nadbiegających. Nagle wypręża się, łapie zębami za gałąź, nie pozwala się wlec. Ślina zielona od zgryzionych liści ścieka mu z warg.

Gdy kurez miła, niosa go słabego i uległego, krępiją mu nogi i ręce pasem, kładą obok umarłych.

— Kto mógł to przewidzieć, wyrzucał sobie pułkownik, no, kto mógł przewidzieć? Kapitan Tumaniszwili siadał już do łazika. Kapral telefonista, klecząc na stopniu trzymał w ręce kabel. To był natszybszy sposób sprawdzenia linii, leżącej w rowie przy szosie.

Jakiś wysoki porucznik przyprowadził pługowatego strzelca. Oczka mu biegały.

— Panie pułkowniku, meldują mi teraz, że strzelano do nich, z tamtych zabudowań, wskazał na przytaloną osadę.

Żaden z oficerów nie pyta strzelca, co tam szukał, wiedza, że próbował coś ukraść z opustoszałych domów.

— Pięciu ludzi na ochotnika, woła porucznik.

Podbiega podchorąży Kamliński. Zgłasza się wielu. Pociąga ich polowanie. Niebezpieczna zwierzyna. Podchorąży ujmnie

za łokieć strzelca. — Prowadź! Chodźcie, przyzywa skinieniem resztę.

Gęsiego pogrążają się w las.

\*

Andrzej stoi za działami. Ramię wzniezione opada. Nie ma komendy. Telefoniści kucają dokoła aparatu, jakby rozdmuchiwali tlejące ognisko. — Linia przzerwana, mówi któryś podnosząc kwią nabiegłą twarz. Jest duszno. Porucznik Maćkowiak wstaje teraz, przeciąga się, spał mimo luku armat. Na policzku ma odcisnęłą kratę igliwia.

— Co się stało? — ziewa. Przeciąga pieśczołtliwie dłonią po ciepłych zamkach dział, jak po znajomym, nagim ciele kobiecym. Stał sączy ciepło w palce.

\*

Auto hamuje gwałtownie. Kapral zeskakuje. Biegnie ku żołnierzom. Jest ich dwóch, nie uciekała. Kapitan trzyma w ręku koniec kabla.

— Pan kapitan z artylerii? — pyta naiwnie jeden z piechurów.

Kapitan milczy zaskoczony, tylko twarz robi mu się ziemista od tłumionej wściekłości.

— Melduję posłusznie, według rozkazu linia zniszczona!

— Kto wam to kazal? — ryczy teraz.

— Major!

— Jaki major?

— Nasz, polski. Wyszedł z lasu i kazal kabel ciąć i rozrzucić, bo nie ma już czasu zwijać. Cofamy się!

Kapitan rozumie wszystko.

— Gdzie go macie?

— Poszedł na baterię! Pokazaliśmy mu, dodaje z dumą, przecież się wyznam na mapie.

Teraz już kapral, który ogarnął dokonane zniszczenie, zdziera z pleców karabin.

— Przeżegnaj się skurwysynu, przeżegnaj się nim zdechniesz!

Strzelec otwiera usta. Oczy ma okrągłe jak u kury. Łufa dotyka zlepionych kłaków za uchem.

Kapitan odpycha karabin.

Teraz strzelec kłęczy, łzy płyną mu po brudnych policzkach. Czuje jak blisko był śmierci.

— Major kazal... Ja nie... — chlipie, to major kazal...

— Puść! krzyczy kapitan. — Poznacie go?

— Tak! tak — przytakuja skwapliwie.

— Siadać! Siadać!

Dostają kilka uderzeń kolbą. Łazik rusza. W biegu czepiają się tylnego oparcia. Wisza. Jeden ma twarz zacięta. — Taki był rozkaz, diabeł się tam na panach wyzna... Drugi płacze.

— Żebym tylko zdążył, myśli kapitan, wychylony do przodu, znają już nasze stanowiska...

\*

Podch. Kamliński podchodzi od strony ogrodów. Jabłonie poczynają żółknąć. Gałęzie obrane z owocu. Przez zielone sztachety widać wygracowane ścieżki i rabatki pełne dokwitającej lwiej paszczy.



— To tam mówi strzelec, zatrzymując się.

Dom piętrowy. Okiennice pozamykane i zabite poprzecznie deską. Podchorąży dają znak. Stają pod ścianą. Próbuje kłaniki. Drzwi nie ustępują. Nagle jeden z żołnierzy pokazuje mu w alejce agresywnej rower. Leży na ścieżce i świeci szprychami.

Kamliński obchodzi dom dookoła. Sciska w ręce karabin. Czuje jak przez napięte mięśnie przebiegają iskierki, jakby trawa była naładowana elektrycznością. Przyjemny dreszczyk ryzyka.

Staje pod ścianą dyszącą blaskiem. Bąki leżą naoslep i ze wściekłym bzykaniem osuwają się po murze. Żar aż bucha. Już ma wydać rozkaz — wywalamy drzwi, gdy słyszy nad sobą głos, krótkie, chrapliwe słowa komendy.

Podnosi głowę. Z mansardowego okienka dochodzi go jakby brzęk młynka do kawy. Aparat nadawczy. Opiera karabin. Ostrożnie wchodzi na kratę dzikiego wina, chwytając się zesnurowanej plecionki. Sięga już rymny. Lęka się, rozkładając powoli ciężar, że płytki eternitu będą trzeszczeć. Od dachu wieje upałem popołudnia. Wyciąga granat i zębami odbezpiecza.

Przed Kamlińskim otwiera się widok na obie strony rzeki, na las i taki nadbrzeżne. Pod nim ćwierka aparat nadawczy. Czuje napływającą falę nienawiści. Podciąga kolana i wsadza głowę w okienko.

Oto w półmroku dwaj cywile ze słuchawkami na uszach kłęją nad skrzynką. Tuż przed nim, z lornetką wolno opadającą od oczu, siedzi zaskoczony obserwator. Podchorąży zatrzymuje rękę z granatem odrzuconą dla zamachu. Przed nim, twarz w twarz, widzi rozszerzone pory na spieczonym nosie, pręgę przez czoło po zsuniełym hełmie, siedzi major, major w polskim mundurze. Ta sekunda wahania wystarcza. Z dna poddasza pada strzał. Podchorąży czuje pchnięcie, zdaje mu się, że wichur wślacza mu się w usta i rozsada piersi. Ciska granat między zdumione oczy szpiega. Potem, zdzierając długie fałdy winogrodu, płacząc się w linach pedów, razem z oderwaną kratką wali się w dół. Z ust sączy mu się krew. Teraz reszta wiązań spada na niego długimi językami, okrywa go jak sztandarem. Górą granat wybucha i sypią się pokruszone dachówki.

Nadbiegają żołnierze. Podnoszą go pod ramiona. Głowa podchorążego opada. Do stał kulę w same usta.

Już strzelec o sprytnych oczkach wlecze snopki słomy.

— Upieczemy ich, szepece. Przykłęka na progu krzesząc z zapalniczki ogień.

\*

Łazik hamuje tak gwałtownie, że strzelcy padają w kurz. Kapitan biegnie ku stanowiskom, wołając: Przodki na baterię!

Andrzej wybiega mu naprzeciw. Odwrócony tyłem nie słyszy granatu, który roztrącając gałęzie, uderza między trzecie i czwarte działo. Odłamki gwizdzą, więzną w pniach. Odwraca się. Widzi żołnierzy uciekających w las. Przed nim wypręża się i miota kłęb ciał nakrytych dymem. Granat rozrywa się przed nim. Dyn jak balon ulatuje w górę. Siedmiu zabitych. An-

drzej rzuca się po kątomierz busole, serce baterii.

Przecież nie zwieję, myśli. Kapitan zatrząskuje drzwiczki jaszczów. Przeskakują przez czepiających się rannych. Bombardier o krogulczym nosie, który dotąd stał jak skamieniały, rygluje lufy. Pociski przenoszą, ale rwą się niepokojąco blisko. Powietrze lka.

Łamiąc kołami krzewy przedzierają się przodki. Konie chrapią, przestępują rzemienie i postronki. Świszczą bicze jeźdźców. Szóstki wpadają na stanowisko.

Konie drobnią w miejscu, zrywają się w krótki galop. We trzech zaprzodkują działo. Kapitan, bombardier i podchorąży. Każdy zaprzęg wypadający poza zasięg ognia, ocierający się osiami o pnie, odprowadzają oczami, żebrzą Boga o litość. O siebie już nie dbają, ale haubice, haubice, broń, której resztką została...

Z suchym trzaskiem runęła przecięta pociskiem sosna, obalając środkową parę w zaprzęgu. Konie, jeźdźni, kłębią się uwikłani w uprzęży, przywaleni gałęziami. Wzniesione kopyta szamocą się w konarach. Z rozdartego końskiego brzucha leje się ciurkarnie.

— Odpinaj, wyje kapitan w ucho Andrzejewi.

Ale już wali się druga sosna, jakby las zastępował drogę uciekającej baterii. Za nimi, parszając iskrami, od których zapala się zeschnięte poszycie leśne, jasnym płomieniem trzeszczy leśniczówka.

Trzy działa grzmia po szosie. Andrzej biegnie ze statywem w ręce. W konarach drzew rozpryskują się granaty. Obok kanonier z dłonią we krwi jak w porzeczkowym soku, próbuje wskoczyć na wóz.

— Odwróć głowę, krzyczy Andrzej i opierają rannego o pień. Kanonier osłabł nagle, jakby w nierozumnych skokach utracił wszystkie siły. Andrzej nie wie, czy to oddech rannego tak mu kark pali, czy powiew idący od pożaru. Wykręca żołnierzo wi rękę. Odłamek przepchnął strzęp płaszczu wraz z guzikami między pieszczelami. Żołnierz tępym okiem patrzy jak nóż podchorążego przecina mu skórę, nad pulsem. Wreszcie Andrzej wyciąga guzik i owinięty w sukno, gorący jeszcze odłamek. Jasna krew spływa obficie. Bandaż spowija teraz brudny przegub, raz koło razu.

Kapitan przystaje obok. Las za nimi hu czy od nawały ogniowej i olbrzymich westchnień pożaru.

— Mogliśmy pójść do Bozi, gdyby tak jebnęło w jaszcz, dyszy. Pot piecze jakby nasypiano za żołnierza gorącego popiołu.

Porucznik Maćkowiak, który dostał odłamkami w piersi siedzi teraz, błądy, tłusto świecący i nagle postarzały. Odpluwa uważnie krew.

— Pojedziesz stary do Warszawy, na urlop, my za ciebie Szwabom pokażemy, pociesza go kapitan, gładząc po głowie jak dziecko.

— A mówiłem, syczy ranny, z obrzydzeniem patrząc na Andrzeja, mówiłem ci nieraz: nie bierzmy tych z rozbitych oddziałów, bo przynoszą nieszczęście!

Za nimi głucho stęka ogień armatni i jęczą drzewa mocujące się z pożarem.

Wojciech Żukrowski

Tadeusz Chróścielewski

## W I A T R

Liście zawisły w mroku сіromo  
I nikt w nich barwy nie wyczyta,  
A wiatr, gdy staniesz nieruchomo,  
Przyjdzie z mgieł czarnych pić do syła.

A zaś my, liście mnąc nerwowo,  
Słuchamy, kiedy dał zakryta,  
Jak wiatr zawodzi wciąż na nowo  
Piosenkę ab urbe condita.

I liść i pieśni wiatru czarne...  
Myślę, że nocą — a i we dnie —  
Barwy, czy marne, czy nie marne,  
Mają swe dźwięki odpowiednie.

Lecz tu wyjątkiem są twe oczy,  
Gdyż te srebrzystsze, im jest ciemniej,  
A dziś świt z ciszą je jednoczy,  
A tej i w lesie brak i we mnie. —

A gdy po drzewie dłoń sunęca —  
Traf — liście zegnę, spójrz na przeciw —  
Rzekłbyś zapalką zmierzch ktoś trąca  
I złotą łączę dał zaświeci.

I nie wiem, jaka radia fala  
Ten wiatr pochwyti, co — wiem, wzięta  
I dźwięk żelazny, co się zwala  
Nad głową, poza kraniec świata.

Martwe, czy głuche mają uszy  
Lun nie usłyszę, myśli spłaczę...  
Wtedy zmarszczoną brew poruszysz  
Lekkim dotknięciem wąskich rączek.

## T E K R Z A K I

Te krzaki — istni baluciarze  
Migocą liśćmi śląc zajęczki  
Słońcu, splecionych brzózek parze  
I rzecze pochylonej łączki.

W wodzie chybcą się kaczące  
I płynie woda, nurt swawolny  
Na sen ci ukolyszę ręce  
Pod wiotki śpiew koników polnych.

A w wodzie miękko jest obłokom...  
Gdy zaś w dół spojrzeć się odważysz  
I rękę nurzasz zbyt głęboko  
Dojdiesz twej własnej, chłodnej twarzy,

Co tam zapadła w nurl jak płomień,  
I oto w gęste liście stojna  
Z dna zapaltrona w niebo strome  
Coś wie, daleka i dostojna...

Po mokrych myślach, mokrych łrawach  
W lekkim obuwiu śpiesznie przejdźmy...  
Wiesz, dziś publicznie czarność spławia  
Wschodzące gwiazdy — grzeszne wiedźmy;



Spójrz, mój synku, w czasy spokojne,  
niech na zawsze pamięć zostanie  
jak wyglądał ojciec, zanim  
poszedł na wojnę.

To są narty — auto — i tenis,  
to podróż na białym okręcie — —  
Dam ci na własność, w prezencie  
jasne wspomnienia.

To jest rzeka i kajak — lato,  
wesole obrazki barwne.  
Cały do wizji się garniesz,  
wołasz: o — fatol!  
To są góry i modre morza,

słońce z Sorento i Capri —  
Zachwytem swym ból mój nakryj

by nie rozgorzał.  
Klaszczesz w dłonie, śmiesz się, bawisz  
— żądny piękna mały człowiek.  
A mnie lza cięży u powiek,  
że nas zostawił —

Uczysz się jego gestów: płynął  
wiosłuje! gra! jeździł skacze!  
A ja bym chciała zobaczyć  
gdzie i jak zginął —

Wątle ramionka otwierasz —  
A ja chcę się pytać cienia  
czy z moim na ustach imieniem  
umierał! —

Tłumaczenie Chróścielewski

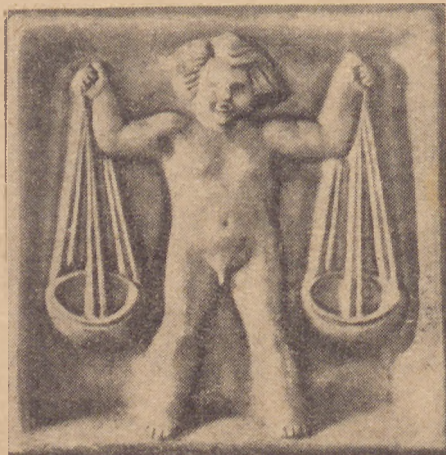
## PRZY RUINACH STYLOWEJ BRAMY W PARKU POZAMKOWYM

Czemuś Ty, Panie, rżał tęsknotę,  
Która nam stale każe szukać  
Ciebie, co kujesz gwiazdy złote,  
W strzelistych liniach, w dziwnych łukach!

Temu, co wapnem cegły spajał,  
Tym, co przydali glazom łotą,  
Kształt w głuche noce się wyrzwał —  
Okrucz niebiańskich Twych przymiotów.

I niedopowiedziane w chmurach,  
W peryklesowej wichru mowie,  
W miliardów drzew architekturach —  
Zaświła choćby z bram parkowych.

Czemuś to twórczą dał tęsknotę  
Świata, co burzy, gdy miłuje,  
Ty, co kowając gwiazdy złote  
W wieczność jak w wapno je ujmujesz!



MIECZYŚLAW PAWEŁKO  
Kompozycja

## NIESFAŁSZOWANY OBRAZ

Niedawno temu ukazało się II wydanie „Ludzi spod miedzy“ Władysława Dunarowskiego. Pierwsze wydanie pojawiło się na półkach księgarskich tuż przed ostatnią wojną i spotkało się swego czasu z życzliwą oceną krytyki, lecz w konsekwencji tragicznych dla kraju wypadków nie mogło dotrzeć do szerszego ogółu czytelników. „Ludzie spod miedzy“ pojawiają się więc obecnie jako książka nowa, mało komu znana. I powiedzmy od razu, że jest książką, z którą warto się zapoznać.

O walorach „Ludzi spod miedzy“ nie decyduje pasjonująca treść i sensacyjna fabuła. W cyklu opowiadań odzwierciedlił Dunarowski z epickim spokojem życie wsi podkarpackiej od czasu wojny światowej aż po lata poprzedzające nowy kataklizm dziejowy. Z kart tych opowiadań wychylają się ku nam postaci szarych, prostych, przeciętnych ludzi. Poznajemy dokładnie ich sposób bytowania, ich na pozór banalne życie. A więc mozolną pracę na roli i zachody wokoło gospodarstwa, więc troskę o chleb powszedni, kłopoty ze splatą długów i wychowaniem dzieci. Na wsi jak to na wsi. Są zatem i sąsiedzkie zwady i zdrażnienia wśród krewniaków. Zbyt bliski kontakt wszystkich ze wszystkimi prowadzi od czasu do czasu do nieporozumień na tle plotek a nawet atawistycznej zabobonności. Dunarowski nie wyolbrzymia jednakowoż wioskowych konfliktów. Nie wyrastają one w jego ujęciu do rozmiarów tragedii. Autor „Ludzi spod miedzy“ unika w ogóle wszelkiego przejawienia tak w dobrym jak w złym. Dunarowski nie doszukuje się w swoich bohaterach demonizmu natur pierwotnych, nie popada w łzawy sentymentalizm nad dolą chłopską, nie stylizuje również swoich chłopów i zagrodników na bajecznie kolorowy, bajecznie egzotyczny światek. Rezygnując z silnych efektów osiągnął autor cenny autentyzm w wizerunku podhalańskiego chłopca. Może właśnie dlatego po wczytaniu się w te szare opowiadania tak trudno się od nich oderwać.

„Ludzie spod miedzy“ są zbiorem opowiadań. Dokładniejsza analiza wykazuje, że autor dał właściwie powieść z ukrytym nurtem. Spośród mieszkańców wioski coraz to inne osoby wysuwają się na pierwszy plan poszczególnych opowiadań i gawęd. Te same osoby spotykamy gdzieindziej w odmiennej konfiguracji na drugim lub trzecim planie. Dopiero na podstawie lektury całości otrzymujemy pełną charakterystykę osób i stosunków rodzinnych, społecznych

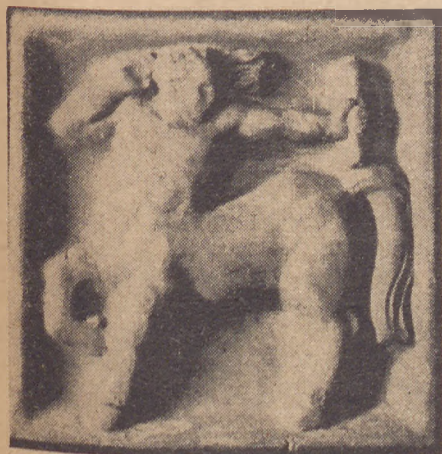
\*) Władysław Dunarowski: *Ludzie spod miedzy*. Powieść, drugie wydanie. Spółdz. Wyd. „Nauka“ — Bydgoszcz 1946.

i politycznych. Technika ta nie jest pozbawiona oryginalności, ma jednakowoż również strony ujemne. Poszczególne opowiadania wywierają więc wrażenie niewykończonych gawęd, a nurt powieściowy narasta kapryśnie, jakby przypadkowo. Historia Florka, dziecka licznej rodziny, które dzięki pomocy ciotki z miasta zdobywa naukę i wykształcenie, stanowi główny wątek fabularny cyklu, lecz wątek ten przysłaniają niezliczone inne motywy, obrazki, studia rodzajowe — same w sobie zajmujące, lecz zarazem utrudniające skupienie się czytelnika na jednej z centralnych postaci książki.

Dziecie Florka i jego rodziny, a zwłaszcza przygody bohatera, gdy został profesorem w liceum pedagogicznym, są dla autora okazją do potrącenia o stosunki gospodarcze i polityczne w Polsce sanacyjnej. Poznajemy ciężkie położenie chłopca wskutek drożyzny towarów przemysłowych a taniości produktów rolnych. Tłem jednego z opowiadań jest słynny strajk chłopów i bojkotowanie dowozu produktów rolnych do miasta. Autor zobrazował także bardzo plastycznie beznadziejne położenie kandydatów do stanu nauczycielskiego. Mają dyplomy, lecz nie mogą uzyskać posad. Kogożby nie wzruszyła historia bohatera opowiadania „Nad Dunajcem pachnie siano“! Wacek, syn ubogiego chłopca, spędza wakacje na wsi, u ojca. Lecz cóż to za wakacje! Nazywa je słusznie „wakacyjną mordęgą“, choć w listach do kolegów będzie koloryzował coroczny pobyt na wsi. Wacek pomaga ojcu przy robocie. „Nie buntuje się. Zna stosunki domowe na wylot. Wie, że ojca nie stać na parobka, że trzeba tego parobka zastąpić bodaj w tych najcięższych miesiącach letnich. Czyż mógłby patrzeć, jak ojciec sam się morduje? Trzeba pomóc. Czy przy pługu, czy z kosą, czy z koniem. Zostaje niedziela. Wacka porywa złość. Bo w tym roku tak się złożyło fatalnie, że nawet niedzieli nie może wykorzystać dla siebie. Od przyjazdu na wakacje jeszcze się nigdzie nie pokazał. Nawet do kościoła nie chodzi. Po prostu nie ma butów. Nie pozostaje nic innego jak kółkiem siedzieć w domu. A jak na złość we wsi bawi sporo letników, są kolonie harcerskie, są urozmaicenia, a tylko nie ma butów.“ Aby zarobić na buty trudzi się Wacek w niedzielę furmaństwem. Właśnie zawiązał pewną letniczkę do miasta i zarobił 5 złotych. Odmówił sobie w upalny dzień szklanki wody sodowej, aby nie uronić nic z ciężko zarobionych pieniędzy. Wróciwszy do domu „dostrzegł u ojca weselszą minę. Wnet poznał przyczynę. Sąd rozjemczy rozratował mu długi na czternaście lat. Przynajmniej grunt nie pójdzie na licytację! Ratę trzeba jednak zapłacić. Nic nie pomoże. A Wacek musi chwiłowo zrezygnować z butów. Najpierw rata I,



## TRUD ZIEMI NOWEJ \*)



MIECZYŚLAW PAWEŁKO  
Kompozycja

Obrazek powyższy dosadnie charakteryzuje położenie chłopów i los dzieci wiejskich w Polsce przedwrześniowej. Bez jakiegokolwiek patosu, stylem prostym i wolnym od deklamacji kazał Dunarowski przemówić nagim faktom. Spojrzał na wieś i jej sprawy oczyma chłopca, wprzęgniętego w tryby niesprzyjającej jego rozwojowi rzeczywistości społeczno-politycznej. Do przekonania uważnego czytelnika ta metoda pisarska przemówi więcej niż najwymowniejsza agitacja.

Dunarowskiego interesuje przede wszystkim człowiek. Stąd brak w „Ludziach spod miedzy” prawie zupełnie malowniczych opisów krajobrazu, które stanowią tak ważny czynnik nastrojowo-dekoracyjny w powieściach np. Reymonta, Kurka i Wiktora. Dunarowski w dążeniu do autentyzmu ukazuje wieś w pryzmacie duszy chłopskiej, a chłop, jak wiadomo, zbyt przywykł do krajobrazu, aby normalnie zwracać uwagę na jego piękno. Jednakowoż to, co jest w zasięgu uwagi prostego człowieka, np. wieśniaczki lub dziecka wiejskiego, zostało zobrazowane sugestywnie i dostatecznie plastycznie.

Opowiadania Dunarowskiego cechuje prostota stylu. Zdania są krótkie i przejrzyste. Język jest tu i ówdzie podmalowany gwara. Także pod względem formalnym uderza brak wszelkiej afektacji, postawa charakterystyczna dla pisarza tkwiącego w autentyzmie. Autor zna opisywany świat, świat swego dzieciństwa, doskonale z autopsji. Zapomina może jednak czasami, że mówi o swoich znajomych do osób trzecich. Zakłada więc bezwiednie pewne szczegóły i je pomija, przeskakuje niektóre ogniwa narracji i stwarza czasami aspekt fragmentaryczności. Niemniej wrażenie wyniesione z lektury „Ludzi spod miedzy” jest w sumie bardzo dodatnie. Chociaż warunki polityczne i społeczne od czasu napisania tej książki uległy dużej zmianie, zachowały opowiadania Dunarowskiego wartość jako niesfałszowany tendencją materiał do poznania psychiki chłopca.

Kobiety zabierały się do gotowania. Proste było to jedzenie, tyle tylko, że sowsie okraszone. Ale byli i tacy, których nie stać było już na tę okrasę. To ci, którym mienie strawiły ostatnie działania wojenne. Dla tych kuchnia PUR-owska była głównym ratunkiem. Oni i psychicznie czuli się najgorzej.

Pierwsi też pospieszyli na zew miejscowego starosty, który zawiadamiał, że chce pomówić z przybyłymi repatriantami. Więc z ciekawości, mniej już z potrzeby pospieszyli i inni.

Ranek listopadowy wstał już na dobre. Starosta, młody, o energicznej postawie człowiek, szczerymi słowy zwrócił się do zebranych ze stopni ganka stacyjnego.

Podobała się ludziom ta szczerść. Nie wychwalał, podawał rzeczy takimi są: Przedstawiał jasno, że oto tu, w samym miasteczku i w okół, są liczne a ładne gospodarstwa nieobsadzone dziś jeszcze. Budynki, meble pozostałe, czekają nowych właścicieli. Niemcy jeszcze siedzą gdzie niedździe, ale ci kraj prędko opuszczają.

Są jednak i ujemne strony. Pola niezbrane, owies, żyto i pszenica stoją na pniu, kartofle czy buraki nieokopane, o zasiewach jesiennych i mowy nie było, bo któż miał to robić. Oto choćby kartofle, dziesiątkami hektarów poczynają marznąć, bo nie ma ich kto zebrać.

I jeszcze jedno. Kto jest bez żywego inwentarza, temu szczególnie trudno będzie przeżyć pierwsze czasy. Bo przyjdzie wiosna, i czym się ziemię obrabi. Sasiad nie pożyczycy, bo mu samemu jeszcze siły pociągowej brakuje. O traktorach coś tam mówią, obiecują, ale kiedy to będzie?...

Tyle, że kto jakoś da sobie radę, to potem nie gorzej mu się pewnie życie ułoży. I on, starosta, szczerze zachęca, by przewalili żmudną podróż i osiedli, w tym jego powiecie. Bo ludzi tu strasznie brak, i coraz więcej przez to dobytku niszczeje.

Ludzie słuchali uważnie. Nie wszyscy wprawdzie i zrozumieli, choćby gdy mówił o jakimś szabrze, co dewastuje gospodarstwa, o ludności rdzennej, takichś Mazurach i coś tam jeszcze takiego.

Zresztą, najważniejsze to były gospodarstwa i ziemia. To ich obchodziło najbardziej. To bowiem było i być musi nadal treścią ich życia.

Słów starosty słuchali uważnie, lecz z niedowierzaniem. Zygmunt mu zgoła nie wierzył. Bo jakże to, w Wilnie czy Oszmianie wyraźnie przecie mówili im, że jada obejmować wzamian za swoje pozostawione, gospodarstwa pomieściecznie z dobytkiem, inwentarzem żywym i martwym, niezapuszczone, gotowe poprostu do dalszej, normalnej pracy. Tu zaś dowiadywał się, że to i koni nie ma i bydła, że wszystko stoi odłogiem, że trudne, głodne napewno będą nowej doli początki. Jakoś się nie zgadzało.

To samo myśleli i inni. Przecie niektórzy otrzymywali wiadomości od tych, co pierwsi wyjechali, czy od synów, co zwolnieni z wojska, obejmowali gospodarstwa, że podostawali ci i owi konie i krowy, ba, świń nawet. Prawda, że nie wszyscy tak pisali, i nie jednako z różnych ziem. Oto, syn Kawesjuka gdzieś z pod Gorzowa czy iak tam, ma się dobrze, ale już ten Julek Włodarczyków to mocno narzekał. Tak samo Anđzka Chrościaków z Dolnego Śląska aże gdzieś pisała co dobrze, ale znowu Matusik zwracał się do swoich z prośbą o pomoc, gdzieś z nad morza.

\*) Dwa luźne fragmenty z niewydanej powieści pod powyższym tytułem.

Medytowali wszyscy długo. Starosta powiedział, że zjawi się po dwunastej. Jeśli kto będzie chciał pozostać, to przyśle samochód i wozy dla pomocy w wyładunku.

Ciężka to była decyzja — zostawać czy iechać. A nuż tam dalej trafi się na co lepszego, a tu trzeba będzie biedować. Ale może być i na odwrót. Niczyja dola nieznana.

Gdy starosta przybył, część się zdecydowała. Zostało coś z piętnaście rodzin chałupniczych, co to tam swojej ziemi nie mieli, więc ciągnęła ich tutaj, lubo nieuprawiona i zapuszczona, ale może już nareszcie ta wyteskniona, swoja własna, a nie zagon kartofli u kogoś na odrobku. Został Ostarzewski stary z rodziną, bogaty a przedsiębiorczy gospodarz, który w Ameryce się majątku ongiś dorobił, a ciężkiej pracy na nowiznie zwyczajny, nie bał na nowym osiadać, dufny w swe siły i przedsiębiorczość. Została rodzina Chociaszowiczów i Warzeckich, którym dzieci pchorowały i była obawa przed wiezieniem ich dalej. I jeszcze kilkoro z biedoty, którym już po tygodniu brakowało czego do gęby włożyć, a na purowskim tylko jedzeniu też się daleko nie zajędzie.

Inni zdecydowali iechać dalej. Smetnie starosta spoglądał na ich konie i krowy, pozostające w wagonach. Ci co zostawali bowiem, nie byli naibogatsi w dobytek. Zygmunt słyszał, jak odezwał się do towarzyszącego mu urzędnika.

— Zawsze to tak. Była biedna ta ziemia muzarska przez wieki, to i teraz biedota tylko do siebie przygarnia. Trudno tu będzie, trudno.

Na koniec, ku podziwowi wszystkich, zdecydował w ostatniej chwili ostać i Malicki, bogaty, pełna gęba gospodarz spod Oszmiany. Zostawił tam bezmała 30 ha wybornej ziemi, a wiozł z sobą 6 koni, tyleż krow, nie mówiąc o świniach, owcach i wszelkim innym ruchomym dobytku. Miał wielkie trudności z wywozem tyłego mienia, ale jakoś mu się to udało.

Malicki dorobił się tego wszystkiego własną, ciężką pracą. Bo też i umiał pracować ten człowiek. Wszystko nałło mu się w rękach, wszystko wiodło, iak specjalna łaska Boża. No i jeszcze jedno, nie umiał próżnować. Nie znał co to odnozynek, co to zabawa. Znał ieno pracę. Taki już był.

I tu zdecydował się ostać, bo się mu zmudziło próżnowanie we wagonie. Chciał już pracować. Wierzył, że powiedzie mu się niegorzej.

Z nowego osiedleńca szczególnie rad był starosta. A że oczy mu się śmiały, gdy spoglądał na wypasione szkaniska, na mlekodajne, solidne w tuszy holendry i kwiczące przeraźliwie przy wyładowywaniu paki co najmniej 15 pudowa maciorę.

Kierownik transportu uzgodnił liczbę pozostających. Cyfra wynosiła 98 osób.

Starosta odezwał się znów do towarzyszącego urzędnika.

— Gdy obejmowałem powiat, w sumie nie było tu jeszcze tylu osadników. Pomalu się zaludnia coraz bardziej. Za rok będzie tu rojno!

\*

Nie ulegało wątpliwości. Gdzieś niedaleko trwała ostra strzelanina. Można było sobie nawet obliczyć gdzie. O jakieś dwa kilometry kryło się w dolinie osiedle, składające z kilkunastu domków, zamieszkałych przez ludność rdzenną miejscową. Stanął



właśnie wyraźnie już teraz niesły się echa strzałów i krzyków.

Próbowali snuć domysły, co tam mogło się dziać. Jak płotka od niejakiego czasu głośiła, na tereny pograniczne przerwało się dla „odpoczynku“ kilka band litewskich z Kowieńszczyzny. Organa rządowe tępiły je bezlitośnie. Możliwe, że i to była jedna z obław, o których tyle się mówiło ostatnimi czasy.

Jaga w podnieceniu traciła Zygmunta:

— Patrz! — palcem wskazując jednocześnie na prawo, za zagajnikiem.

Rzeczywiście. Niebo migotało, nabierając coraz silniej kolorów żółto-czerwonych. Coś się paliło. Błask rozszerzał się coraz bardziej. Las w jego oświetleniu stawał się wyrazistszy. Wypadła z niego para żałocy i poprzez pole pędziła obok domu Woźnickich do jodłowego zagajnika. Niebo zaczęło nabierać w miejscu pożaru barwy burzo-czerwonej. Krzyki jakoś ucichły.

W Zygmuncie obudziły się wspomnienia z lat pracy w straży pożarnej. Chciał biec ratować. Może się jakie dziecko gdzie w ogniu zostało? Los dzieci niepokoił go zawsze najbardziej. Miał szczególną do nich sympatię i otaczał też je zawsze głęboką, serdeczną troską.

Zwrócił się do ojca.

— Tam pożar. I to widać, kilka budynków się pali. Strzały jakieś i krzyki. Możeby tam poskoczyć, pomoc dać jakąś?

Andrzej powoli podszedł do okna, wyrzwał przez otwór powstały na szybie pod wpływem gorącego oddechu, pomyślał chwilę, wreszcie:

— Czy to wiadomo, co tam się dzieje? Jeżeli były strzały, to musiała być jakaś walka. Zamiast komu innemu udzielić pomocy, może się zdarzyć, że sam będziesz jej potrzebował. Lepiej jeszcze zaczekać. A i w domu trzeba być dwóm. Niewiedzieć kto tam pojechał tymi samochodami. Jeszcze wszystko zdarzyć się może.

Trudno było nie przyznać staremu racji.

W tej chwili doleciał znowu do uszu warkot samochodów. Po chwili wychyliły się z zagajnika, widoczne za wzgórze tyłko górne części sylwetek trzech maszyn. Posuwały się drogą szybciej niż przed godziną, gdy jechały w tamtą stronę.

Zygmunt się zdecydował. Zaczekał jeszcze chwilę, aż warkot motorów zginął w oddali. Wtedy nałożył swój farbowany na czarno półkożuszek barani, misternie ponaszany kolorowymi niemi o ludowym desenie, odszukał czapkę.

— Teraz myślę, jak autą odjechały, to może już warto tam pójść?

Andrzej w odpowiedzi kiwnął przyzwalająco głową.

Gdy chłopiec wyszedł do sieni, a przez otwarte drzwi nazewnątrz oglądał się za psem, zdziwił go wygląd Wilczka. Siedział wtulony w kat swego posłania, osowiły jakiś i przybity. Na zawołanie niechętnie podniósł się z miejsca, nawet ogonem tym razem nie kiwnął.

Wyszli na ganek. Ojciec starannie zarygnował za nimi drzwi.

Na świecie panował mroź, tym ostrzejszy, że wzmagał się nieustannie, silny wiatr od północo-zachodu. Śnieg skrzypiał pod nogami. Widno było w poświacie księżycowej zupełnie. Gdzieś od skraju pola skoczył w las zając. Cisza była zupełna. Niebo tylko za laskiem czerwieniło szeroka łuną.

Zygmunt obejrzał się bacznie dookoła. W oknie domu mignęła mu twarz ojca. Nacisnął mocniej czapkę na uszy, podniósł kołnierz u półkożuszka, by się od kłującego chłodem wiatru osłonić i szybkim krokiem ruszył ku drodze. Wilczek biegł obok osowił i bez humoru.

— A jednak miał, bestia, rację. Coś się tam działo niedobrego — przemknęło przez głowę chłopca.

Gdy przechodził nieopodal Topkowego gospodarstwa, przyszło mu na myśl ostatnie spotkanie z Heleną. Mimo, że zdrwiła sobie z niego, czuł do tej dziewczyny szacunek i sympatię. To nie pamiątka do flirtów — pomyślał i spojrzął w stronę domu.

W tej chwili trzasnęły drzwi i ścieżka ruszyła żwawo kobieca postać. Nie potrzebował zgadywać — autochtonka też dokądś śpieszyła. Pewnie na miejsce pożaru, jak i on. Wahał się przez moment, iść dalej czy zaczekać. Na wspomnienie otrzymanego „arbuza“ rumieniec gniewu wypelził mu na i tak dostatecznie zamienione od mrozu policzki. Zdecydował zostać, właśnie choćby sobie i jej na przekór.

Topkówna też go widać już zdała poznała, szła bowiem krokiem szybkim i pewnym ku drodze, gdzie czekał na nią u skraju.

— Dobry wieczór — rzuciła podchodząc i wyciągnęła rękę na przywitanie.

Zygmuntowi podobała się ta jej swoboda. Podziwiał ją szczerze. Nie było w niej nic z dziewcząt dotąd mu znanych z ojcowych stron. Tante albo były płochliwe, wstydlive, albo zgoła cyniczne. A już do dziewczul mazurskich podobna była jak słoń do piernika. Te, które poznał dotąd, były milczące, nieufne i podejrzliwe, wietrzące zewsząd grożącą im krzywdę, zamknięte w sobie i ponure.

Ta dopiero przeczyła wszystkim dotąd wyrobionym przezeń pojęciom o kobietach. Imponowała mu jej swoboda, a jednocześnie wyczuwał wielki takt i siłę moralną. Przemknęło mu przez myśl, że gdyby pochodziła gdzieś z rodzinnych jego stron, możeby i zaczął się starać o wzięcie jej za żonę. Ale to była Mazurka. A do tych nie miał Zygmunt zaufania. Dużo go kosztowało, zanim określeniem — Mazurzy — oddzielać zaczął wyraźnie rdzenny element miejscowy od Niemców. Ale tym samym określeniem oddzielał go niemniej wyraźnie od Polaków. Wolno nawiązywały się stosunki między dwiema grupami ludności.

Nie miał jednak czasu na rozmyślanie. Szli szybko, a z przyspieszonym oddechem kłęby pary buchały przed nimi w powietrze.

Nie wróżyła Topkówna nic dobrego. Na przypuszczenie chłopca, że może to wojsko lub milicja likwidowały jakąś zabłąkaną na polski teren bandę litewską, przecząco potrząsnęła głową.

— Może, ale raczej boję się, że to będzie napad bandycki. Wyjeżdżałam niedawno do ciotki, sześćdziesiąt kilometrów stąd. U nich też było coś podobnego. Przyjechała nocą dwoma samochodami ciężarowymi banda rabusiów z białostockiego. Wyzywając od Niemców, obrabowali doszczętnie ludność miejscową, mazurską, stawiających opór pobili dotkliwie. Szczęśliwie obeszło się bez ognia...

— Boję się — dodała po chwili — że coś takiego zaszło i tutaj.

Trudno było nie podzielać jej obaw. Zygmunt słyszał o niejednym takim napadzie. Ludzie rzadko miewali noc spokojną, drząc w oczekiwaniu na napad. Jak dotąd, okolicy ich — może dzięki rozdzieleniu z białostoczną przez kilka powiatów — nic podobnego nie spotkało. Ale dzisiaj, te samochody, strzały, teraz pożar...

Szli lasem. Ciemniej tu było, od drzew bowiem padały na drogę długie cienie. Pełno było rozpadlin, zdraliwych wykrotów i Zygmunt pilnie musiał uważać, by się nie potknąć i nie przewrócić. Tym bardziej, że nie zwolnili kroku.

Dziewczyna była rozżalona. Żal ten wyraźnie czuć było w jej słowach, gdy głośno wypowiadała swe myśli.

— Bo przecie — ciągnęła — nie możemy się dotąd z wami nawzajem zrozumieć. Narzekacie na nas, żeśmy zamknięci w sobie, ponurzy, że odsuwamy się od jakiegokolwiek przejawów gromadzkiego życia. A cóż nam dało dotąd to gromadzkie życie? Tyle się mówi oficjalnie i pisze o nas, soli i krwi odzyskanej ziemi. O radości waszej, że nas już jak braci witacie. A gdzież to braterstwo? Że w przemówieniach, że w gazetach, to mało. W życiu jak dotąd, z małymi wyjątkami, tylko wrogość, w najlepszym razie głęboka niechęć...

Dobrnęli do skraju lasu i w odległości kilkuset metrów oczom ich przedstawił się przerażający, ale i piękny w swej grozie widok.

Droga spadała w dolinę, przecięta przez mały strumień, szerzej w tym miejscu rozlany. W odległości po kilkadziesiąt metrów od siebie rozplanowało się tu jedenaście gospodarstw. Z tego dziewięć zasiedziały było przez ludność autochtoniczną Mazurów, dwa poniemieckie objęte w posiadanie przez repatriantów.

Pierwsze z brzegu, czwarte i piąte płonęły mocnym ogniem, rozdmuchiwanym jeszcze przez lekki wiatr, schodzący tu ze stoku wzgórze w dolinę, słabszy więc, ale jeszcze dosyć silny, aby przyjąć w sukurs ogniovi.

Wokół płonących budynków kręciła się niezdarnie jakaś grupa ludzi. Dochodziły wyraźnie okrzyki męskie i spazmy kobiet.

Zygmunt spojrzął na Topkównę. W blasku, idącym aż tu od pożaru, a zmieszany z poświatą księżycą, twarz jej wyglądała pięknie i groźnie. Wargi miała silnie zaciśnięte, oczy patrzyły twardo, ze wściekłością. Stała tak bez ruchu, pierś tylko falowała jej ciężko pod grubym odzieniem zimowym.

Chwycił ją za rękę:

— Biegnijmy, nie ma czasu. Może da się coś uratować, dopomóc.

Chwilę biegli razem, ale zaraz puścił jej rękę. Teraz się role zmieniły. O ile zawsze dotąd ona wprzedała go, zgrabnie unikając upadku na śliskiej drodze, on zaś gramolił się niezdarnie z tyłu, to teraz dziewczyna z trudem mogła dotrzymać mu kroku. Puścił ją sama, i pędem, sadząc olbrzymimi susami, dobiegał do wioski. Omal nie przewrócił jakiejś kobiety, dźwigającej od strumienia wiadro wody. Porwał je od starej i nie zwalniając kroku, dopadł do ognia.

Spojrzął. Nie, tu nie było już czego ratować. Dom się dopalał. W słabnącym blasku ujrzał w ogrodzie kilka mizernych gratów domowych, obok wyrwcony ganek. Przy komodzie siedziała szlochająca kobieta, tuląc do piersi okutane dziecko. Obok dwoje starszych, trzymając się za ręce, wodziło dookoła przerażliwym spojrzeniem. Buzie, wykrzywione od usilnego płaczu, drżały febrycznie.

Koło ognia panował ruch. Mężczyźni i kobiety ustawili się łańcuchem od położonej o kilkanaście metrów studni i podawali sobie wiadra z wodą z rak do rak. Kilku stojących przy domu odbierało je i chlustało na ogień. Któryś bosakiem rozrywał coś przy okapie.

Zygmunt zrzucił burkę i skoczył pomagać. Z jednego domu, mało było nadziei, by dało się coś uratować. Zato następny poddał się ogniovi z jednego tylko węgla. Siwy mężczyzna i młoda kobieta wynosili przez naoścież otwarte drzwi skromny dobytek. Ktoś rzucił:

— Tyle tam i zostało po bandytach!

Eugeniusz Pauksta



## „RAZOU“

Streścimy dzieje polemiki, która niedawno na łamach czołowego tygodnika absorbowała najpoważniejszych przedstawicieli działającego dziś pokolenia krytyki literackiej.

Na ten tytuł zasługuje niewątpliwie Jan Kott, który już przed wojną dał się poznać kilku interesującymi, niezależnymi i śmiałymi wypowiedziami, w sprawach literatury, a po wojnie, przerzuciwszy się na teren publicystyki, i w jej ramach, ze stanowiska społeczno-politycznego, rozważając zjawiska literackie, dawniejsze i nowe, umiał zawsze zająć czytelnika i zaimponować nie tylko energią sformułowań i trafnością ich w sprawach uczuciowo obojętnych, ale także w sprawach najbardziej drażliwych i bolesnych ukazać dużo wnikliwości i odwagi ludzkości, także gdy chodziło o rozumienie wrogiemu sobie obozu (że przypomnę „Dzieje Anny“, drukowane w nr. 69 „Kuźnicy“). A wszystko napiętnowane tą werwą, która stanowi najbardziej rzucającą się w oczy cechę talentu prawdziwego essayisty.

Spędziwszy znaczną część powojennego dwulecia w Paryżu i zawiązawszy tam znakomite stosunki w kołach intelektualistów, pisarzy i artystów, Kott nie bezpodstawnie mógł uchodzić za kompetentnego informatora w zakresie życia duchowego Francji, dziś i w najbliższym wczoraj. Od niego dowiedzieliśmy się o ruchu „razou“.

Miała to być w jego rozumieniu zaczątkowa forma późniejszego „Ruchu Oporu“, o znacznej, choć na poły tylko uświadomionej, ukrytej energii potencjalnej. Jak każdy poważny obserwator życia społecznego, Kott nie omieszkiał obejrzeć się za analogiczną historią: znalazł je w „incroyables“ z przed półtora wieku, przypisując tym ostatnim charakter rewolucyjny i przenosząc przy sposobności ich działalność w czasy Napoleona.

Takie dowolności w obchodzeniu się z faktem historycznym wywołały sprzeciw „Jaszcza“ w Odrodzeniu (nr 110); zresztą ten filar redakcyjny czołowego tygodnika, chętnie drukującego prace Kotta, notatkę swą przepoił życzliwością, traktując omyłkę, jako jedno z tych potknięć się pióra świetnego publicysty, do których zdążył on przyzwyczaić swych czytelników, powiększając o czarujące roztrzępanie uroki swego disarstwa.

Ale Kott nie uznał w tym wypadku swej pomyłki, a posiadając, jak mówi Gogol o pewnym swym bohaterze „lołkost w myślach nieobyczajny“, unotywał dość szeroko odstąpienie od tradycjonalizmu w przedstawieniu faktów dziejowych. Jego lotne wywody znalazły ponowną refutację i ostateczne pogębienie ze strony „Jaszcza“.

Znaleźliśmy się więc w domu. I to w swoim starym domku, o ile chodzi o odleglejszą przeszłość. Ale sensoryjne odkrycie w historii współczesnej? „Razou“ w swej pierwotnej postaci, pozostawało bezsporne, pomimo toczącej się na jego marginesie polemiki, w dalszym ciągu niepokojąc ludzi nieco spoufalonych z francuszczyzną swym niezwykle brzmieniem. Co to może być? może jakiś prowincjonalizm lub zgoła prowansalizm, niewylączony w okresie, gdy centrum życia Francji przeniosło się na południe, do jej nieokupowanej części. W każdym razie nikt nie poddał wątpliwości samego istnienia ruchu o tajemniczej nazwie „razou“, tak właśnie brzmiącej, gdyż żadnej poprawki nie wnoszono.

„Razou“ kwitło w najlepsze, gdy list p. Heleny Dziedzińskiej w nr. 6 „Odrodzenia“, spadając jak bomba między polemistów, odsłonił istotny stan rzeczy. Okazało się, że niema nazwy „razou“, jest natomiast słowo „zazou“, którego brzmienie zostało zniekształcone przez błąd drukarski, przez nikogo niesprostowane. W swym autentycznym brzmieniu, słowo to tłumaczy się dość jasno: jest to typowe słowo „dziecięce“, sformowane sposobem powtórzenia, czy związania dwóch podobnych sylab, z charakterystyczną w pojęciu Francuza cechą gaworzenia dziecięcego „zézaiment“, tak jak dla nas charakterystyką takiej mowy jest wymowa „r“ jako „l“, „sz“ jako „s“ itp. Słowo to byłoby więc ekwiwalentem czegoś w rodzaju „pieściosiek“, a użyte w sensie ironicznym i dezaprobuującym, odpowiadałoby naszym „maminsynek“, „gagatek“. Popularność tego słowa, w tym właśnie sensie w czasie wojny może zaświadczyć choćby czytelnik jedynych dokumentów z życia Francji pod okupacją, które dochodziły do Polski, kollaracionistycznych tygodników w rodzaju „Je suis partout“ lub „La Gerbe“. Co zaś do istnienia ruchu pod tą nazwą, to autorka listu, doskonale najwidoczniej poinformowana, jakby z autopsji, o Paryżu lat wojennych, stanowczo zaprzecza. W ten sposób odkrycie J. Kotta rozchwiało się jak „dymek z papierosa“, polemika zaś zostanie w rocznikach chętnie kolekcjonowanego pisma, na wieczną czasu pamiątkę, ukazując, „czym żyją i czym się karmią oświecone sfery naszego społeczeństwa“, mówiąc słowami Kotta użytymi w polemice.

Nie jest to jedyny przykład takiej „niekrytycznej krytyki“, złej informacji o życiu intelektualnym na zachód i na wschód od naszych granic, i wynikających w następstwie bzdurnych informacji bezprzedmiotowych polemik. Każdy, kto pojedzie do Londynu lub Moskwy, uważa po dwóch tygodniach za swój obowiązek ukazanie się w roli Kolumba, odkrywającego nieznane kontynenty ducha. „Nomina sunt odiosa“, dla świętego spokoju nie wymieniamy najświeższych wypadków, wskaźmy dawniejsze, jak zeszloroczny spór o Chestertona, lub skorzystajmy z bezimienności notatki, w ostatnim (65) numerze „Dziś i Jutro“, pt. „Conrad wciąż aktualny“.

Nie wchodźmy w meritum sprawy. Mimochodem tylko stwierdzimy, że pisarz ten nie jest widać obojętny dziś dla nas, skoro się o nim tyle ostatnimi czasy mówiło. Atakował go Kott i pięknie mu odpowiedziała Maria Dąbrowska. Sam już zresztą fakt wielkiego autorytetu w świecie cywilizowanym Conrada w momencie jego zgonu, przed dwudziestu przeszło laty, w epoce, która przecież nie była „epoką własną“ pisarza, niewątpliwie wszystkimi cechami twórczości znamiennej dla neoromantyzmu, dla dalekiego od nas „fin-de-siècle“ świadczy o tym, że to nie była jednodniowa sława. Ale w sprawie dzisiejszej aktualności Conrada nie można powoływać się na Galsworthy'ego. Raz, że sam znakomity przyjaciel Conrada jest już od dłuższego czasu, od grubo przedwojennych czasów — nieboszczykiem. Powtóre, jego szkice, czy raczej wizaż wspomnień, pochodzi z przed lat 22. Autorowi notatki wolało być nie znać oryginału, ani wiedzieć, że francuska (zdaje się nieco krótsza) wersja szkicu, która zjawiała się w poświęconym pamięci Conrada zeszytach N. R. F. (La Nouvelle Revue Française, skrót o wszechświatowym obiegu) była w ramach sprawozdania z tego zeszytu omówiona w „Przeglądzie Warszawskim“ przed 20 przeszło laty; należało natomiast dokartkować szkic do końca i przeczytać petitowy dopisek, w którym redakcja

„Twórczości“ podaje daty bibliograficzne. W ten sposób spełniłoby się porządnie zadanie informatora, a bez tego wprowadza się zamęt i obniża, i tak już niski stan naszych wyobrażeń o literaturze. Jaki taki jego czytelnik, przedstawiciel „oświeconych sfer naszego społeczeństwa“ będzie się powoływał na najświeższe dowody uznania ze strony Anglików dla naszego genialnego rodaka i pójdą o to spory, polemiki w piśmie, konstrukcje ideologiczne, tym bardziej dalekosiężne, im mniej ugruntowane na faktach, a im bardziej dalekosiężne, tym mniej podległe krytyce — słowem „razou“ w nowej odmianie.

Ale i starej odmiany nie przestaje kulturować jej czołowy przedstawiciel. Świeżo w „Kuźnicy“ (78) Jan Kott szczerze wypełnia krótki artykuł zestawieniami typu: „incroyables“ a „razou“: „Jeżeli mówimy Balzak, Mickiewicz, Prus, a nie Zola, Wiktor Hugo i Żeromski...“ tu hurtownie, a kilka wierszy przedtem detalicznie załatwia się z „wyborem nowych mistrzów“: „Jeżeli mówimy Siedlecki, a nie Borowy...“ Pomiędzy parę następnych zestawień, gdyż i to pierwsze zada nam dużo kłopotu.

Przede wszystkim o którego Siedleckiego chodzi? Nazwisko rozpowszechnione. Eliminujemy Franciszka Siedleckiego, grafika; tak samo Siedleckiego, autora „Jawy“. Chyba Adam Grzymała-Siedlecki? Zestawienie nie byłoby niemożliwe; znaczną częścią swej działalności ostatnio wymieniony Siedlecki zapisał się trwale w dziejach krytyki polskiej. Ale z drugiej strony, różnica pokoleń, typu pisarskiego, erudycji, chronologicznego i geograficznego zasięgu zainteresowań. Zresztą czyżby istotnie w intencji Kotta było włączenie A. Grzymały-Siedleckiego między „wzory uczonych i pisarzy postępowych“? Wreszcie domyślamy się: chodzi tu o Franciszka R. Siedleckiego, przedwcześnie zgasłego w czasie wojny, znakomitego badacza wersyfikacji polskiej, inicjatora całego rodzaje się przed wojną ruchu teoretyczno-literackiego. Jego działalność zasługowałaby na upamiętnienie w obszerniejszym opracowaniu, a nie na wzmiankę, niezrozumiałą dla olbrzymiej większości czytelników „Kuźnicy“, a pod piórem Kotta przybierającą charakter „razou“.

Na jakiej płaszczyźnie możliwe jest zestawienie? Wycieczki Borowego (który nawiasem mówiąc, w rozmaity sposób dał wyraz swemu wysokiemu uznaniu dla młodego autorytetu wersjologii polskiej) w dziedzinę historii i teorii formy dźwiękowej literatury, iakkolwiekbaż cenne, nikną wśród innych wspaniałości dzieła. Różnica pokoleń utrudniająca porównanie, bodaj większa niż, z przeciwniej strony — pomiędzy A. Grzymałą-Siedleckim a Borowym: ten ostatni wydał swą pierwszą, a już znakomitą rzecz można, klasyczną książkę o Chodźce, wzór metody dla tylu następnych badaczy literatury, już w 1914 roku; 20 lat upłynęło, zanim podpis Fr. R. Siedleckiego pojawił się w druku. Nieciernych znowu, marginesowych wycieczek tego specjalisty-erudyty w dziedzinę krytyki i historii nie można zestawiać bez krzywdy dla jego pamięci z artystycznym sposobem ujęcia tematu i z kryształową prozą, jedną z najpiękniejszych, jakie znamy w dziejach piśmiennictwa polskiego, studiów Borowego. Tego rodzaju zestawieniami Jan Kott upoważnia, może już najbliższą generację, do porównań między własną twórczością, a działalnością Stanisława Piłata!

K. W. Z.



## NIEDOCENIONY SOJUSZNIK

Zanim mowa będzie o sojuszniku — spójrzmy wrzód na — nieprzyjaciela. Spojrzenie to może być tutaj tylko bardzo powierzchowne, bowiem problem analfabetyzmu artystycznego u nas jest zagadnieniem zbyt poważnym i rozległym, by ważyć się na zamykanie go w wąskich ramach felietonu. Stwierdźmy więc tylko fakt: nieprzyjaciel jest niezmiernie potężny i tym groźniejszy, że rozpanoszone po obydwu stronach frontu. Ze wszystkich zaś odcinków frontu najbardziej zagrożoną, najbezwzględniej przez wroga osaczoną jest pozycja kultury plastycznej. Pozycja nieomal stracona.

Nie od dziś datuje walka o jej odzyskanie. Walka jednak raczej partyzancka, niż prowadzona regularnymi armiami. Do wczoraj — żadne naczelne dowództwo, żadne sztaby nie uwzględniły jej w swych planach strategicznych. Nieliczni artyści-organizatorzy walczyli w osamotnieniu, wspierani przez równie nielicznych, należycie zorientowanych entuzjastów plastyki. Rezultat tych zmagani, acz godny podziwu i pamięci — był znikomy. Analfabetyzm plastyczny szerzył się nadal a sprawa upowszechnienia sztuki nie wychodziła ze stadium marzeń i hasła garści jej fanatyków.

Od hasła często, może za często powtarzanych zaczęło się nasze „dziś”. Nigdy bodaj przedtem, nie użyto tylu słów na podkreślenie społecznej doniosłości szerzenia kultury plastycznej. Od słów jednak do konkretyzowania zapowiedzi — droga daleka. Tak daleka, że podnosi się już zaczęły zarzuty najprzykrzejsze: rzucania słów bez pokrycia.

Zarzuty jednak niesłuszne. Wiedzą o tym dobrze ci, którym nie obce są wysiłki zmierzające ku odrobieniu odwiecznych rzec możnaby zaległości i zaniedbań. Krótkiego okresu dzielącego nas od chwili ukończenia działań wojennych — nie zmarnowano. Przeciwnie — w trudnych powojennych, więc raczej nieprzychylnych warunkach ileż wartościowych dokonań. I tak: ustaliły się już i krzepną formy organizacji zawodowej plastyków, orgarniającej gęstą siecią cały kraj. Podobnie — pod kątem widzenia potrzeb całego kraju rozplanowano i uruchomiono szkoły artystyczne, od komórek podstawowych — ognisk kultury plastycznej — aż po najwyższe uczelnie artystyczne. Czasopisma wyłącznie poświęcone plastyce: Krakowski „Przegląd Artystyczny” i warszawski „Głos Plastyków” — już dziś skutecznie wypełniają poczynając ogromne braki w dziedzinie polskiej literatury z zakresu teorii plastyki. Poza wspomnianymi czasopismami specjalnymi — słowo o plastyce pojawia się coraz częściej nietylko na łamach periodyków literackich ale także na łamach naszej prasy codziennej. Słowo — dodajmy — w przeważającej większości wypadków rozumne, rzeczowe, dobrze spełniające zadanie zbliżenia czytelnika do zagadnień artystycznych.

Cóż, kiedy — słowo o plastyce — chociażby i najbardziej rzeczowe, najtrafniej komentujące dzieło — nie zastąpi samego dzieła. Bez jak najczęstszego, bezpośredniego kontaktu z dziełami sztuki — sprawa kultury plastycznej nie posunie się ani o krok. A właśnie o ten kontakt bezpośredni z plastyką jest u nas bodaj najtrudniej.

Nie mamy, gdy idzie o sztukę obcą — ani jednej należycie zaopatrzonej galerii. Tylko dwa środowiska w Polsce dysponują zbiorami dającymi pogląd na dorobek artystyczny polski. Kontaktowi z plastyką współczesną służą „Salony Ogólnopolskie” — jak dotąd tylko w Krakowie i w Warszawie. Pozostałe środowiska polskie albo radzą sobie w miarę swych bardzo skromnych możliwości, albo — czekają. Drugi już rok czekają na powołanie nareszcie do życia instytucji zbliżonej do przedwojennego Instytutu Propagandy Sztuki. Instytucji, która by jednak nie ograniczała swego zasięgu do wąskich ram stolicy ale działalnością swą obejmowała całą Polskę. Bowierni gład sztuki — spotęgowany siedmioletnim postem okupacji — coraz niecierpliwiej i natarczywiej domaga się zaspokojenia. Nie jutro dopiero, czy pojutrze — lecz natychmiast. Ale — o ileż łatwiej należycie zaspokoić np. głodne uszy, niż głodne oczy! Do wielkich muzeów czy galerii droga jest dla ogromnej większości Polaków równie daleka

jak na księżyc. Ba! — iluż to wybitnych nawet plastyków naszych nie stało twarzą w twarz z arcydziełami Luwru, British-Museum czy Ermitażu. Znam u nas takich zapalonych Cézanne'istów, którzy nigdy na własne oczy nie oglądali oryginalnego Cézanne'a. Znam bałwochwalców Picassa'a, z całym fanatyzmem głoszących nauki mistrza „na wiarę”. I krytyków i teoretyków plastyki, których materiał porównawczy opiera się wyłącznie na znajomości arcydzieł — z reprodukcji.

Jeśli złą, lichą i tandetną reprodukcję zaliczyć musimy do wrogów kultury plastycznej i to wrogów bardzo groźnych, niezmiernie szkodzących sprawie, to przeciwnie — reprodukcja dobra może nam w obecnej naszej sytuacji oddać nieocenione usługi. Gdy nie stać nas na wędrowanie do wielkich galerii świata — to — dzięki reprodukcji stać się może taki cud, że wielkie galerie pofatygują się do nas. Pod warunkiem oczywiście, że faksymile arcydzieł będą technicznie na jak najwyższym poziomie. Zwłaszcza, gdy idzie o reprodukcję wielobarwną. W ostatnim dwudziestoleciu rozwój techniki reprodukcyjnej w Anglii, we Francji, w Niemczech i we Włoszech doprowadził do świetnych wręcz rezultatów. Tak świetnych, że zadowolili one mogły najwybredniejsze, najbardziej wyczulone spojrzenia. W paryskiej pracowni Józefa Pankiewicza, którego nieomylny smak był w kołach plastyków wręcz przysłowiowy — znaleźć można było całe kolekcje barwnych reprodukcji dzieł sztuki. Świetny artysta uzupełniał sobie za ich pośrednictwem braki w muzeach paryskich. I utrzymywał, że w kontemplowaniu ulubionych dzieł nie przeszkadza mu zgoła fakt, że dzieje się to za pośrednictwem — reprodukcji.

Przypominam sobie głębokie wzruszenie jakie przeżyliśmy, gdyśmy ze śp. Pawłem Pogowskim — w latach okupacji — w magazynie jednej z księgarni poznańskich — pod stosami świetnie zreprodukowanych beznadziejnych malowideł pacykarzy hitlerowskich — odkryli nagłe reprodukcję ostatniego antoportretu Rembrandta. Pogowski, który lata całe strawił w muzeach europejskich na kopiowaniu m. in. także płócien Rembrandta — wzruszył się do łez. Reprodukacja była bowiem cudowna. Tych samych rozmiarów co oryginał — oddawała jak najwierniej kolor, ton, walory, fakturę i nawet rodzaj płótna tego jednego z siedmiu cudów sztuki.

Szczęśliwsi od nas pozamykali w swych zbiorach co najcenniejsze cuda sztuki. Długie lata miną, zanim stać nas będzie na gromadzenie w kraju arcydzieł plastyki. Nie mogąc nabywać oryginałów — kolekcjonujemy chociaż-

by ich faksymile. Oczywiście te najwyborniejsze, najsumienniejsze wykonane, nawierniejsze. Nie po to oczywiście, aby spoczywały w tełkach, w pracowniach naukowych, w bibliotekach, ale aby — całymi kolekcjami — krążyły nieustannie po kraju. Akcją taką należało by prowadzić planowo, konsekwentnie, z myślą wychowawczą. Gdy transport dzieł sztuki tyle dziś sprawia kłopotów — niech nam przyjdą z pomocą reprodukcje. Nie trudno im będzie dotrzeć wszędzie. Do każdego ośrodka, do każdej szkoły i do każdej świetlicy. W planowej walce z analfabetyzmem plastycznym — reprodukcja — słusznie nazywana „sztuką demokratyczną” oddać będzie mogła nieocenione wręcz usługi.

Przekonano się o tym dowodnie w Pomorskim Domu Sztuki w Bydgoszczy. W Domu dysponującym obszerną i znakomitą wręcz sa-



CAMILLE PISSARRO  
Portrait Cézanne'a

lą wystawową. Zorganizowawszy ją z niemałym wysiłkiem i kosztem — długo i cierpliwie czekano na obiecane pokazy plastyki polskiej i obcej. Czekano na wystawę rysunków francuskich — nie dojechały. Czekano na grafikę sowiecką — nie dojechała itd., itd. Teraz czeka się na Wystawę Norwiderską — może dojedzie.

Ale najbardziej ze wszystkich oczekiwany był obiecany wybór co najcharakterystyczniejszych płócien zebranych z muzeów polskich. W ramach powiedzmy — od Michałowskiego do Pankiewicza. Wybór ogromnie potrzebny dziesiątkom tysięcy oczu polskich, które nigdy dotąd nie oglądały ani Matejków, ani Gierymskich, ani Rodakowskich ani Wyspiańskich.

Gdy pokaz ten — także do skutku nie doszedł — zabrakło wreszcie Pomorzanom cierpliwości i — wezwali w sukurs — sojusznika. Przy pomocy dwustu bez mała pełnowartościowych reprodukcji zorganizował Oddział Bydgoski Z. P. A. P. dwie najpotrzebniejsze aktualnie wystawy: 1. Malarstwa polskiego „Od Michałowskiego do — Pankiewicza” i 2. Malarstwa francuskiego „Od Maneta do Matissa”. W kolekcji polskiej pokazano m. in. faksymile dzieł: Rodakowskiego, Matejki, J. Kossaka, Chetmońskiego, Gierymskiego, Podkowińskiego, Wyczółkowskiego, Wyspiańskiego, Mehoffera, Axentowicza, Weissa, Kislinga, Zaka, Skoczylasa. Na zbiór francuski złożyły się reprodukcje płócien i rysunków m. in.: Monet'a, Pissarro'a, Renoir'a, Toulouse-Lautrec'a (teka autolitografii), Cézanne'a, Seurat'a, Van Gogha, Gauguin'a, Derain'a, Uitto'a, Vlamink'a, Bonnard'a i Matissa...

Sojusznik nie zawiodł. Reprodukcje dobrane starannie i należycie rozmieszczone umożliwiły licznym zwiedzającym (zwłaszcza zaś uczniom pomorskich szkół artystycznych) zbliżyć się do przejawów plastyki współczesnej. Wystawa umożliwiła nie jeden dobrze instruujący wykład i nie jedną wywołaną pożyteczną dyskusję. Zainteresowanie pokazem było duże. (Tak duże, że wydarzył był się nawet niesłychany tu i bądź co bądź radosny wypadek: skradziono z wystawy reprodukcję jednej z martwych natur Cézanne'a!). Powtarzam — Sojusznik nie zawiodł. Sukurs jego może być bezcenny. Byle by go tylko w pełni i na stałe pozyskać.



HENRI MATISSE  
Rysunek



## BYDGOSZCZ

### Wieczory literackie

Dnia 5 lutego osiągnął Klub Literacko-Artystyczny cyfrę 50-ciu wieczorów literackich. Nieurojony powód do sławy, tym bardziej, że w dotychczasowym, półtorarocznym dorobku „Śród literackich” zamyka się szereg pozycji poważnych, szereg istotnych osiągnięć. I można śmiało powiedzieć, że w miarę zbliżania się do 50-tej „środy” stale wzrastał poziom wieczorów; tematykę i dobór prelegentów cechowała coraz to większa przemysłowość i celowość. Wieczory Klubu potrafiły sobie w ciągu swego dotychczasowego żywota zjednać i „wychować” tak sporą rzeszę miłośników literatury, że nie ledwie raz po razie przekraczająca cyfrę 500 słuchaczy wieczoru. To jest niewątpliwie osiągnięcie najpoważniejsze.

Przy wypełnionej ponad miarę sali odczytowej Pomorskiego Domu Sztuki wygłaszał prof. Konrad Górski, prezes oddz. pomorskiego Zw. Zaw. Literatów Pol., w ramach 50 „środy” prelekcję zatytułowaną: „Mickiewicz o nauce i mądrości”. Odczyt prof. Górskiego, odslaniający i systematyzujący zarazem sferę poglądów Mickiewicza na podstawowe — jeśli chodzi o pojmowanie świata — zagadnienia wyrażone w tytule, — nie tylko wzbogacił naszą wiedzę o twórczości poety, ale dzięki prawdziwie głębokiej interpretacji myśli zawartych w dziełach arcyministra stał się pewnego rodzaju niepowtarzalnym przeżyciem. Na niedużą „część oficjalną” wieczoru złożyło się przemówienie Naczelnika Woj. Wydz. Kult. i Sztuki, prof. Jerzego Remera oraz felieton Alfreda Kowalkowskiego, obrazujący dotychczasowe, półtoraroczne dzieje Instytucji bydgoskich „Śród literackich”.

Odczyt prof. Górskiego poślągnął za sobą szereg wieczorów poświęconych zagadnieniom historyczno i krytyczno-literackim, dla których organizatorom „Śród” udało się pozyskać paru doskonałych prelegentów i znawców przedmiotu.

Prof. Tadeusz Makowiecki, autor zamieszczonego niedawno w „Jantarze” studium o „Wietrze od morza”, ciekawie ujął swój piękny odczyt („Środa” 51-a), mający za przedmiot, to właśnie dzieło: „Walka Żeromskiego ze Smetkiem” — tak brzmiał tytuł, — jako ostatni etap walki autora „Ludzi Bezdolnych” z szatanem. Prelegent rozwinął i udowodnił tezę o ewolucji poglądów Żeromskiego na problem dobra i zła, ewolucji, zmierzającej — od wiary w możliwość pokonania zła indywidualną potęgą dobra zawartą w duszy jednostek, poprzez próby walki ze złem jego własnymi, materialnymi środkami, — do przekonania w skuteczność zniszczenia wrogich sił wspólnym, zbiorowym wysiłkiem. „Wiatr od morza” posłużył prelegentowi do zilustrowania tej ostatniej fazy przekonania Żeromskiego.

Z kolei („Środa” 53) Alfred Kowalkowski, na marginesie swoich ostatnich studiów nad autorem „Młodości” przedstawił słuchaczom postać Conrada-Korzeniowskiego jako pisarza morskiego. Odczyt — podany może w nieco mało przejrzystej formie, — zawierał szereg nowych, śmiałych nierazko stwierdzeń, którymi prelegent interpretował założenia „morskiej” twórczości Conrada, w myśl których tylko „wierność zbiorowa” wobec morza i ludzi zdolna jest poprowadzić do rzeczy wielkich i dobrych. Morze nie sprzyja kultowi wybujałego indywidualizmu, to też prawda wewnętrzna dzieł Conrada, warunkująca ich wartość artystyczną, musiała wywołać kult zbiorowości — jako ostateczny wydzwięk dzieła.

Sam tytuł prelekcji dr Wacława Kubackiego „Dzieło, a pogląd na świat w świetle twórczości Mauriaca” („Środa” 55-1a) — tłumaczy postawę przyjętą przez krytyka poznańskiego wobec interesującego zjawiska literackiego, jakie stanowi twórczość przedstawiciela współczesnej katolickiej Francji literackiej. Na nadzwyczaj szeroko zakreślonym tle historycznego rozwoju gatunku literackiej wypowiedzi Mauriaca umieścił prelegent plon pisarski autora „Kłębowa kłęb”, nadając mu etykietę „realizmu idealistycznego”. Kształtowanie się techniki pisarskiej, stopniowe powstawanie dzieła — pod wpływem określonego poglądu na świat, — oto droga, którą dr Ku-

backi zmierzał dotrzeć do ostatecznego rozszyfrowania „problemu Mauriaca”. Czy dotarł? Żywość dyskusyj, jakie przez długi czas po odczycie toczyły się w kołach słuchaczy „Śród” świadczy o wyjątkowej względności zagadnienia, możliwości istnienia różnych aspektów w interpretacji tematu. Świadczy ponadto, o nadzwyczaj zapładniającym umyśle charakterze wypowiedzi prelegenta.

Swoim niekłamany entuzjazmem dla Kraszewskiego podzielił się w 80-lą rocznicę jego śmierci z słuchaczami bydgoskimi K. W. Zawodziński, jeden z nielicznych znawców twórczości tego pisarza (56 „Środa”). Prelekcja, utrzymana w formie miłej gawędy o tej ciekawej, wszechstronnej osobowości twórczej wniosła szereg interesujących momentów w naszą ograniczoną znajomość, właściwie — bliżej nieznanego pisarza. Szkoda, że brak czasu nie pozwolił prelegentowi na szersze rozwinięcie zasadniczego tematu wieczoru: „Kraszewski — nasz współczesny”. Niewątpliwie twórczość autora „Ostatnich chwil wojewody” posiada dlań swemu wysokiemu artyzmowi niejedną kartę nam po dziś dzień bliską. Odnowienie spojrzenia na Kraszewskiego jest koniecznością chwili.

W międzyczasie, pośród tych krytyczno-literackich imprez odbyły się dwa wieczory o innym charakterze. W ramach „środy” 52-jej zetknęła się Bydgoszcz z nowym aspektem twórczości Adama Grzymały-Siedleckiego. Wieczór autorski popularnego pisarza przyniósł — poprzedzone krytycznym „słowem wprowadzającym” M. Tomaszewskiego — fragmenty powstałego w czasie okupacji, nieukończonego dzieła, obszernej powieści historyczno-obyczajowej z przełomu 19 i 20 wieku, na tle stosunków carskiej Rosji. Niedokończony utwór zatytułowany „Pod berłem Monomacha” zawiera z rozmachem nakształony, barwny i wierny obraz epoki dogasającego samowładztwa.

54-ty wieczór wypełniła pogadanka Dobieszta w a Damięckiego, bawiącego w Bydgoszczy z okazji występów gościnnych w „Uczniu Diabła” prezesa ZASPu, na temat „aktualnych zagadnień teatru”. Prelekcja znanego artysty i działacza nie wniosła wprawdzie nic szczególnie nowego do spraw tylekroć na łamach prasy teatralnej i literackiej poruszanych — jednak z pewnością dużą część słuchaczy mniej zorientowanych w sprawach teatralnych, skorzystała z udzielonych przez prelegenta wyczerpujących wyjaśnień na temat życia teatralnego w Polsce współczesnej. *mit.*

soka kultura śpiewacza, inteligencja i muzyczność jak też łatwość ekspresji każą zasegregować Halinę Ottoczko do rzędu najlepszych śpiewaczek polskich młodego pokolenia.

Orkiestra brzmiała doskonale, zwłaszcza w muzyce francuskiej. Program obejmował „Zaczarowany Flet” Mozarta, „Taniec Szkieletów” Saint-Saensa, „Suite Arlesienne” Bizeta, „Wełtawę” Smetany, oraz „Karnawał Rzymski” Berlioza. Halina Ottoczko śpiewała arie Moniuszki, Mussorgskiego, Saint-Saensa i Bizeta.

23. I. słyszeliśmy VI koncert symfoniczny pod dyr. Kazimierza Witkomirskiego, z udziałem młodocianej skrzypaczki Wandy Witkomirskiej. Kazimierz Witkomirski, którego podziwialiśmy w sierpniu ub. r. jako doskonałego kameralistę i wspaniałego wiolonczelistę, przedstawił się tym razem jako wrażliwy, inteligentny i sugestywny dyrygent. Fantazja i fuga c-moll Bacha w jego instrumentacji brzmiała pełno i głęboko. Po mistrzowsku poprowadził Witkomirski poemat symfoniczny „Powracające Fale” Karłowicza, przez co pozwolił przeżyć licznie zebranym słuchaczom chwile głębokiego, niemal rekolekcyjnego, skupienia. Po tak „do trzewi sięgającej muzyce”, wywołującej gorączkę uniesienia, prawdziwie chłodną wodą, cuczącą nas do życia, okazał się pochód z op. „Złoty Kogucik” Rimskiego-Korsakowa. A coż powiedzieć o Wandzie Witkomirskiej, laureatce Genewskiej? Oczarowała nas swą głęboką grą! (Koncert D-dur Czajkowskiego). Kto wie, do jakich jeszcze wyżyn artyzmu może dojść ta szesnastoletnia skrzypaczka!

31. I. odbył się recital Tadeusza Wituskiego. Nie wniósł on żadnych specjalnych akcentów w nasze życie muzyczne. Był to poprawny koncert przeciętnie uzdolnionego pianisty.

6. II. śpiewała Maria Sowińska, prezentując się bardzo dodatnio w różnorodnym bogatym repertuarze. Materiał głosowy nadzwyczajnej jakości, skala rozległa, aparycja wyróżniona — wszystko są to atrybuty rasowej śpiewaczki operowej. Muzycznie natomiast moglibyśmy wyliczyć dużo mankamentów i braków, a więc do dojrzałości pełnej jeszcze daleka droga. Akompaniował prof. Eugeniusz Kopp.

Niedzielnym porankiem symfonicznym (VII) dnia 9. II. dyrygował Arnold Rezler. I Symfonia Beethovena tym razem wypadła o wiele piękniej i zwięźle, aniżeli rok temu, co świadczy o dużym postępie naszej orkiestry pod względem technicznym i muzycznym. Po za tym słyszeliśmy Suitę baletową Rameau-Mottla, uverture do op. „Marta” Flotowa oraz Suitę baletową „Sylwia” Delibes. Wydaje się, że poranki symfoniczne nie znajdują swych bywalców w Bydgoszczy, a szkoda! Zagranicą i w innych zresztą miastach polskich jest to bardzo przyjęta forma koncertów symfonicznych.

13. II. odbył się recital fortepianowy Stanisława Szpinalskiego. Gre tego znakomitego artysty cechuje nadzwyczajna precyzja, prostota i szczerze, oraz bardzo szeroki oddech. Bezsprzecznie jest to najlepszy pianista w Polsce.

21. II. odbył się VIII koncert symfoniczny pod dyr. Arnolda Rezlera, z udziałem pianisty Edmunda Rezlera (w zastępstwie nie mogącej dojechać do Bydgoszczy z powodu zasp. śnieżnych Eugenii Umirskiej). Suita Handla „from the Music for the Royal Fireworks”, koncert fortepianowy d-moll J. S. Bacha i IV Symfonia Brahmsa złożyły się na ten wyjątkowo piękny koncert. IV Symfonia Brahmsa jest marzeniem wszystkich dyrygentów. Pietrzy ona bowiem tyle trudności przed orkiestrą i dyrygentem, że każdy chce spróbować swej siły na niej, zdając niejako egzamin ze swej dojrzałości kapelmistrzowskiej. Trzeba skłonić głowę przed Pomorską Orkiestrą Symfoniczną Towarzystwa Muzycznego w Bydgoszczy i przed Arnoldem Rezlerem. Zdali egzamin cum laude. Rezler poprowadził całość z umiarem, uwypuklając najbardziej istotną ornamentykę tej symfonii. Sprawozdawca przeżył najbardziej wzniosłe chwile, słuchając tego genialnego dzieła, mówiącego o rzeczach abstrakcyjnych i ostatecznych. Edmund Rezler zadokumentował raz jeszcze, że żył się z muzyką klasyczną w pełni. Na mój gust brakowało miejscami w jego grze bardziej wyrazistych akcentów rytmicznych, przez co budowaćby mógł z większą logiką i precyzją żel-betonową konstrukcję tego kapitalnego utworu. Koncert był transmitowany przez wszystkie rozgłośnie Pol. Radia.

27. II. odbył się recital śpiewacza znakomitego tenora Wiktora Bręgy. Nie wielkim głó-



P A B L O P I C A S S O  
„Dwie kobiety”

### Ruch Koncertowy

10-go stycznia na V koncercie symfonicznym, pod dyr. Arnolda Rezlera, wystąpiła mezo-sopranistka Halina Ottoczko, artystka Opery Śląskiej. Ileż to słucham jej głosu — mogą oprzeć się uczuciu prawdziwej radości, że są jeszcze w Polsce takie głosy. Wy-



sem, jakim obdarzyła go natura, władza nad-  
wyraszać umiejętnie i inteligentnie, wykorzystując  
też go w 150 proc. Jeśli chodzi o stronę muzycz-  
ną — to śmiało można postawić Wiktora Bręgy  
za wzór wszystkim śpiewakom, a tenorom  
w szczególności. Aria z op. „Urowadzenie z Se-  
raju” Mozarta, „Nieraz, gdy na pół sennie”  
Szymanowskiego, aria ze „Strasznego Dworu”  
Moniuszki (ta szczególnie), pieśni Marka, oraz  
cykl pieśni neapolitańskich świadczyły o kul-  
turze śpiewaczej i osobistej Wiktora Bręgy.  
Artyście sekundował na fortepianie, jak zwykle  
niezawodnie, Tadeusz Kurczewski.

1. III. słyszeliśmy recital chopinowski  
Raula Koczalskiego. Był to nie ten sam piani-  
sta, który grał u nas rok temu! Koczalski  
unowocześnił swą grę. Nie był to już pianista  
z końca XIX w., lecz rasowy, rozumny poeta  
fortepianu naszego stulecia. Koczalski jest  
jednym z najlepszych chopinistów doby obec-  
nej.

2. II. odbył się publiczny popis uczniów  
Pomorskiej Średniej i Niższej Szkoły Muzycz-  
nej w Bydgoszczy. Blisko czterogodzinny popis  
nie zmęczył słuchaczy, owszem napawał ich  
radością, że rośnie młode pokolenie przyszłych  
artystów, wychowywanych rzetelnie, na praw-  
idłowych fundamentach muzycznych. Bardzo  
interesująco zaprezentowała się szkoła, szcze-  
gólnie jeśli chodzi o fortepian. W szkole śred-  
niej zafrapowała klasa instrumentów detych,  
świadcząc, że narybek orkiestrowy rośnie i to  
taki, który orkiestry nasze może wydzwignąć  
na szczyty muzyki symfonicznej.

3. III. odbyła się publiczna lekcja słuchania  
muzyki, którą poprowadził nac. Wydz. Szkol-  
nego dep. muzyki Min. Kultury i Sztuki, p. Ja-  
nusz Miketta. Ilustratorką była p. Irena Kli-  
kiewicz-Brujewiczowa. W myśl nowej reformy  
szkolnictwa muzycznego — szkoły t. zw. umu-  
kalniające zajmują b. poczytne miejsce w na-  
szym ruchu muzycznym i aczkolwiek nie są  
szkołami zawodowymi, a raczej właśnie wsku-  
tek tego, kładzie się na nie specjalny nacisk,  
jako że umuzykalniają i rozśpiewują społeczeń-  
stwo, kształcąc odbiorców muzycznych i wno-  
sząc do ich domostw muzykę „czystą”, nie dy-  
letancką, czy sparodiowaną. Nacz. Miketta po-  
przedził swój właściwy wykład słowem wstęp-  
nym, w którym zobrazował wysiłek reformato-  
rów, zmierzający do upowszechnienia i zro-  
zumienia wśród społeczeństwa polskiego istoty  
muzyki. Sam wykład poprowadził p. Miketta  
bardzo interesująco, co w niemałym stopniu  
może się przyczynić do rozwoju istniejącej już  
w Bydgoszczy szkoły umuzykalniającej, do któ-  
rej wstęp otwarty jest wszystkim bez różnicy  
płci, wieku i wykształcenia.

7. III śpiewał Chór Juranda. Z pewnością  
liczne podróże zmęczyły już członków sym-  
patycznego kwartetu. Wydało się bowiem słu-  
chaczom, że potraktowali oni swój występ  
w Bydgoszczy nieco sennie i „per nogam”, nie  
wkładając za wiele entuzjazmu w swe pro-  
dukcje, niezbyt zresztą wyszukane, tak pod  
względem tekstów, jak i opracowania muzycz-  
nego. Najlepiej zaprezentował się bas. A resz-  
ta jest maluczką bez głosu — a może tylko  
udają?! Na akordeonie grała m. Halna Wlór-  
kowska. Recenzent przez dłuższy czas wpatry-  
wał się w „loczki” jej włosów, „zwagonowane”  
koszule i muszki „frakowiczków”, oraz w tak  
wyniosłe odbijającą od czerni chóru i Blüth-  
nera, szarość, nieagannie zresztą skrojonego,  
garnituru mistrza Juranda...

Państwo mili! Nie tak już za bardzo „bez-  
piesko” traktujcie bydgoskie „pokrzywy”.

13. III. odbył się IX koncert symfoniczny.  
Clou programu była nowalijka: prawykonanie  
koncertu fortepianowego młodego pianisty  
i kompozytora Kazimierza Serockiego, w jego  
własnym wykonaniu. Serocki zaprezentował się  
słuchaczom w obu kreacjach bardzo dodatnio.  
Jego trzyczęściowe „Concertino na fortepian  
z orkiestrą” zrobione jest, z punktu widzenia  
formalnego bez zarzutu. (Część I — w formie  
sonaty, II — pieśni, III — rondo, oberek). Mu-  
zycznie jest bardzo ciekawe. Miniaturki „bi-  
sowe” zaś świadczyły dobitnie o dużym kunszcie  
kompozytorskim Serockiego. Kto wie czy nie  
byłłmy świadkami narodzin większej miary  
kompozytora! Przyszłość pokaże.

Arnold Rezier włożył dużo serca i pracy  
w „chrzest dziecka”. Orkiestra zaimponowała  
precyzją wykonania trudnej swej partii. Po za  
koncertem Serockiego słyszeliśmy poemat sym-  
foniczny „Step” Noskowskiego, typowego przed-  
stawiciela polskiej rzeczywistości XIX w., oraz  
Symfonie Es-dur Mozarta, graną odrobinę  
„przyciękawo”.

Jerzy Jasieński.

## Na scenie bydgoskiej

„S z c z e n i a k i” — Roger - Ferdinanda,  
Reżyseria Zofii Modrzewskiej, Dekoracje: An-  
toni Muszyński.

Już niejednokrotnie w literaturze dramaty-  
cznej podejmowano się satyrycznej inwektywy  
na suchy formalizm starych metod pedagogicz-  
nych, w sposób niedostateczny uwzględniają-  
cych psychiczną strukturę uczącej się mło-  
dzieży, jej wrodzone dyspozycje, indywidualne  
tęsknoty oraz wszystkie te zewnętrzne bodźce,  
które częstokroć powodują wypaczenie mło-  
dzieńczych ideałów, dążeń i postępowania.  
Autor „Szczeniaków” podjął na nowo po-  
wyższy problem szczególnie aktualny w warun-  
kach powojennych, kiedy do szkół napłynęła  
młodzież, dorastająca w dusznej i niezdrowej  
atmosferze wojny, przedwcześnie dojrzała i rzu-  
cona do brutalnej i nieuczciwej walki o byt.  
Powaga problemu, jego szczególna aktualność  
i trudność wymagałyby raczej od autora satyry  
przemysłanej i głębokiej, niosącej w ironii,  
sarcie i kpinie myśl poważną i jednoznaczną.

„Ridendo dicere verum” — „w śmiechu gło-  
sić prawdę” — mawiał stary satyryk Horacjusz.  
Warto by przypomnieć te klasyczne zasady,  
która współczesnym komediopisarzom nie po-  
zwoliłaby bagatelizować zadań artysty, a teatr  
współczesny ustrzegłaby przed pokusą niczdecy-  
dowanego i łatwego komizmu, mającego na  
celu jedynie płytka i tania rozrywkę. Autor  
„Szczeniaków” wprowadza widza do wnętrza  
francuskiego liceum prowincjonalnego i ukazuje  
mu beztrudnie i hałaśliwie życie garstki starszej  
młodzieży, która, krocząc drogą wojennej prak-  
tyki i nawyków, dla spekulacji i zysku po-  
święca naukę i swą przyszłość. W bezwzględ-  
nej i rygorystycznej postawie ojców i pedago-  
gów widzi autor główną i jedyną przyczynę  
obojętności młodzieńców wobec napomnień  
i gróźb ich opiekunów i przełożonych. Brak  
historycznej i społecznej oceny zdarzeń oraz  
powiązania losów tej młodzieży z konkretną  
rzeczywistością przesuwa akcent ideologiczny  
utworu na rzeczy mniej ważne, słyca jego  
treść i nadaje mu charakter sztubackiej, buh-  
ucznej i niefrasobliwej satyry na zdziwacza-  
łych i apodyktycznych pedagogów. Jednocześnie  
łaskawy i dobronudny humor dotyka nieszkod-  
liwie i delikatnie spraw bardziej istotnych,  
budząc pobłażanie i sympatię dla zaradności  
życiowej spekulującej młodzieży, która przecież  
jedynie naśladuje starszych i podobnie jak oni  
„korzy się” przed potęgą pieniądza. Ferdinand  
widzi drogę wyjścia z tego pedagogicznego im-  
pasu w zastosowaniu nowych środków wychow-  
wawczych. Droga ta niewątpliwie słuszna choć  
połowiczna, w konsekwencji prowadzi autora  
poprzez farsowe i melodramatyczne nierówności  
do rozkosznej krainy sentymentalizmu, flirtu  
i erotyki, które mają właśnie stanowić ów nie-  
zawodny modus paedagogicus. Wprawdzie różne  
systemy pedagogiczne nieraz podkreślały wagę  
pierwiastka subiektywnego, osobistego oddziały-  
wania i wzajemnej sympatii między nauczycie-  
lem a uczniem, to jednak osobliwe metody  
panny Bravard, ceniącej pieczołowicie w czło-  
wec 19-letnich dryblasów i rozprawiającej na  
lekcjach o „kochaniu”, są zbyt „rewolucyjne”  
i muszą budzić zastrzeżenia.

Dyletancką i lekkomyślną postawę autora  
„Szczeniaków” wspierała w swej realizacji  
scenicznej reżyser Zofia Modrzewska. Melo-  
dramatyczne dysonanse, tani i groteskowy komi-  
zizm, nieprawdopodobne sytuacje, podane  
w sposób jaskrawy i nawzajem się kłócący, tworzy-  
ły widowski pod względem artystycznym  
wrażenie nierówne. Sadzę, że wybyły się  
jaskrawego efektu i groteskowej karykatury  
i ujęcie utworu w ramy jednolitej, subtelnej  
i ugodnej komedii, nadałyby widowski do-  
rzalszy wyraz artystyczny, odpowiadający po-  
wadze poruszonego zagadnienia i zadaniem  
współczesnego teatru.

W ograniczonej ilości są jeszcze do nabycia  
**ROCZNIKI ARKONY**  
oprawne,  
z dwubarwną, artystycznie wykonaną  
winiętą.

Ponad 100 autorów, około 200 artykułów,  
130 reprodukcji — stron 240.

Cena 150 zł

Wysyłka roczników po wpłaceniu należności  
na konto PKO BYDGOSZCZ VI-271.

Najbliższa powyższej koncepcji byłaby gra  
Janiny Niczewskiej (Bravard), pomijając natu-  
ralnie zbędne efekty całości tekstu, poblaż-  
liwie zaaprobowane przez reżysera. Suchą i ry-  
gorystyczną sylwetkę dyrektora liceum, pełną  
żywiwości i naturalnej plastyki, dał Mieczysław  
Widlicz. Postać Gabriela Lamy Strzałkowski  
wyposażył w prawdziwą sztubacką swadę, zgra-  
ną czwórka jego kolegów byli Marzecki, Ko-  
niecza, Gawroński i Koman. Postać prof.  
Chaminca (Jaroszyński) wymagałaby znacznej  
korekty, polegającej na usunięciu przesadnej  
karykatury i zastąpieniu jej realnym typem  
zartarnionego pedagoga-dziwaka. Dekoracje  
Muszyńskiego nie wykazywały specjalnej in-  
wencji.

\*

„Walka kobiet” Eugeniusza Scribe i Le-  
gouve — to pomysłowa komedia, skonstruowana  
precyzyjnie i efektownie w myśl tradycyjnych  
konwencji dramatopisarskich, posiadających  
wszakże swój ustalony walor sceniczny. Pom-  
imo bowiem naiwnego komizmu sytuacyjnego,  
szczęśliwego, lecz mało prawdopodobnego przy-  
padku, który rządzi i kieruje losem ludzi w ko-  
medii, sztuka tworzy całość artystycznie doj-  
rzałą i pełną wdzięku. Jeżeli natomiast chodzi  
o stronę merytoryczną utworu, to trzeba przy-  
znać, że cała jej zawartość treściowa, dziś już  
słowniata i martwa, nie może posiadać wy-  
dźwięku aktualnego tak w sensie pozytywnym  
jak i negatywnym. Pod tym względem utwór  
po prostu jest niemy.

Widowisko wyreżyserował Stanisław Dębicz,  
postępując się tekstem scenicznym, opracowa-  
nym przez Adama Grzymałę-Siedleckiego. W tel  
celowej współpracy dała się zauważyć dążność  
do uwypuklenia przede wszystkim teatralnych  
walorów sztuki i odsunięciem na plan dalszy  
jej historyczno-społecznej oblicza oraz psycho-  
logicznej struktury, odbiegającej od wymagań  
realizmu. Biorąc pod uwagę fakt, że utwór  
Scribe'a nie jest komedią charakterów, lecz  
komedią intrygi, stanowisko organizatorów wi-  
dowiska było całkiem trafne i słuszne.

Celowe i konsekwentne opracowanie po-  
szczególnych ról (Krzywicka, Wańkowska, Kas-  
owski, Dowgird) podkreślało ściśle związek  
z ogólną koncepcją widowiska.

\*

„Odrodzenie” — Reny Nehrebeckiej było  
drugą od czasu znowowiedzenia działalności Teatru  
Polskiego prapremierą w Bydgoszczy (w ubieg-  
łym sezonie „Ludzie są ludźmi” Grzymały-  
Siedleckiego).

Utwór autorki bydgoskiej jest świadectwem,  
jak trudno nadać pełny kształt artystyczny  
rzeczywistości bliskiej, osobliwej i bogatej  
w wydarzenia, a mimo to krnąbrnej i opornej  
wobec literackiego rzemiosła.

W pięciu „obrazach” autorka „Odrodzenia”  
podjęła się ambitnej próby, która miała dać  
artystyczny obraz historycznych zdarzeń w la-  
tach 1939-45.

Duża rozpiętość chronologiczna akcji i ka-  
tozskopowe tempo „obrazów”, pełne karko-  
lomych przeskoków i rażących skrótów w akcji  
zburzyły wewnętrznie spójność poszczególnych  
scen i nie pozwoliły na rozbudowanie psycho-  
logii głównych postaci, zacierając ostatecznie  
ideologiczny sens sztuki, i nie usprawiedliwiają-  
co wcale bombastycznego tytułu utworu.

„Odrodzenie”, nie dając realistycznego i ar-  
tystycznie poprawnego obrazu niedawnej rze-  
czywistości, nie może wzbogacić naszej wiedzy  
o człowieku i kulturze i o jego psychice, wy-  
wołanej na próbę i miazdżonej brzemieniem  
koszmarnej niewoli.

Reżyseria zbiorowa według inscenizacji Zofii  
Modrzewskiej przy ujęciu scenicznym wido-  
wiska stanęła przed wyjątkowo trudnym zad-  
aniem. Trzeba było z nierównej całości stworzyć  
jednolity i zwarty obraz plastyczno-dźwiękowy,  
ujmujący zawartość treściową utworu w sposób  
celowy i estetyczny. Nie zawsze naturalnie dało  
się to osiągnąć. Zbiorowy wysiłek reżyserki  
nie poszedł jednak wyraźnie w kierunku upla-  
stycznienia myśli poszczególnych postaci w spo-  
sób zgodny raczej z rzeczywistością niż z wy-  
obraźnią autorki. Toteż gra większości zespołu  
Modrzewska, Strzałkowski, Kuźmiński, Mar-  
zecki, idąca po linii realizacji scenicznej, pom-  
imo swej staranności i dobrej woli wykazy-  
wała pewną dezorientację i wlokła za sobą nie-  
realny schemat psychologiczny, który przy pew-  
nej wynalazczości można było rozwinąć i wy-  
pełnić bardziej żywą i naturalną treścią.

Aleksander Dziennik.



# LISTY ZE SZCZECINA

## I.

Szczecin, w lutym.

Wielkie mrozy odbyły się na kulturalnym życiu Szczecina. Tym tylko chyba wytłumaczyć można błąd artystycznego oblicza naszego miasta. Jedynym rumieńcem jest „Komedia Muzyczna”, wykazująca stały wzrost poziomu aktorskiego. Dalszym postępowaniem w tym kierunku było wystawienie „Mariusza” Pagnola, ciekawej sztuki, poruszającej zagadnienia związane z morzem.

„Orientacja morską” „Mariusza” opiera się na egzotyzmie morza, wyraża raczej zew „Wielkiej Przygody” niż życiowe hasło nadmorskich ludzi i narodów „navigare necesse est”. Czosłowna (Fanny) tchnęła w postać młodej dziewczyny, czyni tyle ciepła, prawdy, szczerości i wdzięku, że nie tylko wysunęła się na czoło, wyrównanego zresztą, zespołu, ale przesłoniła sobą swego partnera Sliwińskiego (Mariusz), któremu brakuje przekonującej widza siły i bezpośredniości wyrazu. Wskutek tego nie zostało należycie podkreślone to wszystko, co publiczność miasta portowego najwięcej może w sztuce zainteresować, to, co mogło pozwolić widzowi zapomnieć, że rzecz dzieje się w Marsylii a nie u ujścia Odry, gdzie syreny statków mają równie wabące na morze brzmienia głosu. Bardzo dobrze role Fladry, Honoryny i Panisse’a wykonali Rybicki, Rajkowska i Daszewski. Cezarym i reżyserem sztuki był Karczewski. Jemu zawdzięczają artyści świetnie postawione role, doskonałe opracowanie epizodów. Inteligentna reżyseria przez niepodniesienie kurtyny po ostatniej odsłonie oceniła nastroj teatralny.

Komedia Muzyczna zapowiada podniesienie repertuaru, dotąd nieco zaniedbanego, przez wystawienie „Panny Maliczewskiej” Zapolskiej, „Dwóch teatrów” Szaniawskiego i „Poskromienie złośliwicy” Szekspira. Reprezentacyjny teatr Szczecina zyskuje sobie coraz więcej sympatyków wśród publiczności. Ponieważ świętek teatralny Szczecina nie może obejść się bez gierki, płotecek i wojenek podjazdowych, za przeciwnika obrano sobie półmatorski Teatr Mały, który wielce przysłużył się początkom teatru w Szczecinie.

Klub Literacko-Artystyczny, pozbawiony pomocy finansowej, „tańczy na kulturalnym”, ale w okresie karnawału i zabawy zawodzą. Akcję odczytową reprezentują prelekcje: płk. Ciałowicza — o życiu oficerskich obozów jenieckich (ilustrowana wierszami obozowymi kpt. Sobieszczańskiego) oraz trzy wykłady, zorganizowane przez „Czytelnika” (Cz. Piskorski „Budowali Piastowie”, R. Łyczewek „Szczecin w systemie gospodarczym Polski” i J. Modrzejewski „Zagadka Winety rozwiązana”). Odczyły — podobnie zresztą jak w Polsce centralnej — nie przysługują popularności.

Życie muzyczne Szczecina reprezentują koncerty popularne orkiestry Polskiego Radia (ostatnio w świetlicy Domu Kultury Huty „Stołeczny”) oraz gościnny występ chóru Juranda. Jak w prawie miesięczny okres — niezmiernie mało. Może nowopowstałe Towarzystwo Muzycznemu uda się zorganizować życie muzyczne w Szczecinie.

Dowodem pewnego braku kontroli, a zarazem dobrego smaku, było urządzenie pseudo-artystycznego wieczoru poświęconego Warszawie na parkiecie jednego z nocnych lokali Szczecina. Zerwanie na uczuciach patriotycznych, posługiwanie się nimi dla zwabienia publiczności do pustkami świecącego lokalu publicznego — jest zjawiskiem wysoce karygodnym.

Akcja upowszechniania kultury i podnoszenia kulturalnego społeczeństwa szczecińskiego wymaga jak najrychlejszego uaktywnienia. Z biegiem czasu bowiem coraz niebezpieczniej rysuje się niewspółmierność wysiłków i rezultatów między odcinkiem gospodarzem a kulturalnym życia Szczecina.

## II.

Szczecin, w marcu.

Marzec upływa pod znakiem teatru. Sprawa uporządkowania zagadnień teatralnych nie dojrzała jeszcze dostatecznie, by można było jakimś operacyjnym czy leczniczym zabiegiem uzdrowić Szczecin — tego chorego na kulturalną anemię pacjenta. Na razie konsylium zebra-

ne u ob. Wojewody dużo mówiło, jeszcze więcej dowcipkowało, „czynniki oficjalne” wołały o osiągnięcia, dyrektorzy o subwencje, krytycy o wielki repertuar, publiczność o tanie wstępy i repertuar popularny, pojawiły się nawet dalekosiężne plany budowy nowego teatru (pod hasłem: „cała Polska buduje Szczecinowi teatr”), w ogniu dyskusji zapomniano zupełnie o kulturalnych potrzebach dalszych peryferii wojewódzkiego podwórka — ostatecznie konferencję zamknięto nie powziawszy żadnych wniosków. Zagadnienie kręci się dalej w kółko jak pies za własnym ogonem.

A teatry tymczasem grają. Oczywiście te, które mogą. Bo np. Szczeciński Teatr Oświatowy zawiąsł przedstawienia do czasu ukończenia budowy scenki w auli Gumnazium i Liceum dla Dorosłych. Kukielkowy „Czarodziej” nie gra z powodu braku opału. Teatr Mały, jakby nie sobie nie robił z groźących mu postanowień Ministerstwa Kultury i Sztuki, a może dufny w swe dotychczasowe osiągnięcia i sympatie pewnych kół, pracuje nadal nie zniechęcając się trudnościami. „Produkcja pana Brandta” Rojewskiego mogłaby z powodzeniem znaleźć się na oficjalnej scenie Szczecina w „Komedii Muzycznej”, cierpiącej na brak rodzimego repertuaru. Okazuje się, że gdyby dobrze poszukać, znalazłoby się to i owo. Zabawna, a co najważniejsze, aktualna z żywym rumieńcem dzisiejszości sztuka Rojewskiego ma swe błędy i naiwności w technice scenicznej i charakterystyce postaci (Walczak), mogłaby jednak mimo tych braków wiele zyskać przy lepszym wykonaniu. Z zespołu Teatru Małego właściwie jeden tylko Czabanowski (Brandt) zasługuje na wyróżnienie.

O ile słabą stroną „Komedii Muzycznej” jest duży eklektyzm repertuarowy, o tyle Teatr Mały ma w tej dziedzinie godne podkreślenia osiągnięcia. W ciągu 15-tomiestycznego istnienia na 10 wystawionych sztuk aż 8 jest autorów polskich. Stosunek ten jeszcze większy nabiera wymowy, gdy dodać, że Teatr Mały projektuje wystawienie dalszych jeszcze sztuk polskich, a mianowicie „R. H. Inżynier” Winawera i „Pana Damazego” Bliźnińskiego.

Natomiast w „Komedii Muzycznej”, o wiele przewyższającej Teatr Mały poziomem wykonania aktorskiego sztuk, na 10 premier tylko 4 nosiły nazwiska autorów polskich. („Przeprawadzka”, „Skiz”, „Zemsta”, „Panna Maliczewska”). Ostatnio oglądaliśmy zato ciekawy, choć niezupełnie udany eksperyment nowej inscenizacji Mollerowskiego „Męza pognębionego” („Grzegorz Dandim”). Pan Henryk Lotar dodał między scenami wstawki tak, by można było prowadzić sztukę w dwóch stylach: współczesnym i mollerowskim. Angelikę, Grzegorza i Klitandra wyprowadził na scenę spośród publiczności, nad całością ujętą w formę „teatru w teatrze” każąc czuwać Konferansjerowi. Niestety do śmiałej koncepcji dwóch stylów zakradł się — i to wielki błąd — niezamierzony styl trzeci, niepotrzebnej parodii (baronostwo Sotenville). Ostatecznie z Mollera została tylko para sług, Klaudyna i Lubin w bardzo dobrym wykonaniu Czosnowskiej i Rybickiego. Ten ostatni rokuje jak najlepsze nadzieje na przyszłość. Uroczym konferansjerem był p. Karczewski. Trzy główne postacie sztuki borykały się z współczesną interpretacją mollerowskiego tekstu. Prawdopodobnie i w czasach Mollera amant nie powinien spełnić. Daszewski i Rajkowska (baronostwo Sotenville) wystąpili w niesłychanych kostiumach, nadto p. D. zupełnie nie opanował roli pamięciowo i „sypał się” w sposób niedopuszczalny.

Wolno wątpić czy publiczność doceni ten karkołomny dla niej eksperyment teatralny. Dla szczecińskiego środowiska wydaje się raczej właściwszą drogą popularnego repertuaru niż inscenizatorskich nowości. Na to jeszcze za wcześnie.

Tymczasem na terenie województwa ożywia się samorodny ruch teatralno-amatorski. Powstają nowe zespoły w Białogardzie, Koszalinie, nawet w Chojnej i Oborzanych. Wszystko to jednak ciągle jeszcze wraz z marazmem Klubu Literacko-Artystycznego, żadnym właściwie ruchem muzycznym i odczytowym robi wrażenie zupełnego braku jakiegś wytkniętej i skryształizowanej, jasnej myśli organizacyjnej. Zmiany na stanowisku naczelnika Woj. Wydz. Kultury i Sztuki zakończą może to błądzenie po omacku w poszukiwaniu drogi do wyjścia na jaśń kulturalną. A sprawa pilna, bo czas ucieka.

Walerian Lachnitt.

# TORUŃ

## Życie muzyczne

W ostatnim czasie życie muzyczne Torunia niestety stale jeszcze nie wiele okazało ożywienia. O ile fachowe szkolnictwo (Inst. Muz.) pracuje nadal intensywnie, kładąc stopniowo fundamenty pod przyszły, oby lepszy gmach naszego życia muzycznego, o tyle publiczny ruch koncertowy jak i inne sektory naszego ruchu muzycznego w dalszym ciągu pozostawiają wiele do życzenia.

Nowa, zasadniczo dodatnia i bardzo mile widziana pozycja w życiu koncertowym, to cykliczne występy Pomorskiej Orkiestry Symfonicznej Tow. Muz. w Bydgoszczy. Dopóki nie wskrzesimy własnej orkiestry symfonicznej, posiadanie której przedź czy później stać się musi czołowym punktem ambicji kulturalnych Torunia, z wielkim zadowoleniem witamy u siebie orkiestrę bydgoską i życzymy sobie jak najczęstszych jej występów.

Dotychczas zespół ten dał u nas dwa koncerty: w grudniu 1946 pod dyr. E. Rezlera przy współudziale St. Szpinałskiego, oraz 27 stycznia br. kiedy solistką była młoda, utalentowana skrzypaczka W. Wiłkomirska, a dyrygentem K. Wiłkomirski. Program pierwszego występu obejmował utwory kompozytorów słowiańskich: Moniuszki uwert. do op. „Hrabina”, Paderewskiego koncert fort. a-moll oraz Czajkowskiego V symfonię. Na program drugiego złożyły się: Bacha Fantazja i fuga h-moll (w instrum. K. Wiłkomirskiego), Czajkowskiego koncert skrzypcowy, Karłowicza „Powracające fale”, i Rimsky-Korsakowa wstęp i pochod z op. „Złoty Kogucik”. Drugi koncert wypadł na ogół nieco słabiej niż występ pierwszy tego zespołu. W. Wiłkomirska wykonaniem koncertu Czajkowskiego zrobiła dobre wrażenie, choć techniczno-interpretacyjna strona gry (czystość tonacji, precyzja tonu, pewność rytmiczna) nie była jeszcze na poziomie extra-klasy, jak to głosiła fama poprzedzającego koncert. Pozostałe numery programu niestety nie wypadły bez zastrzeżeń. Orkiestra brzmiała błędniej, niż za pierwszym występem, a przecież chcielibyśmy widzieć stopniowy postęp u niej. Nie widać poprawy w słabych punktach obsady (słabe I skrzypce, kontrabasy, wiolonczele). K. Wiłkomirski, artysta wysokiej klasy nie zawsze utrzymywał odpowiedni kontakt z aparatem orkiestrowym, co się uwidoczniło zarówno w akompaniamencie do koncertu Czajkowskiego, jak też w pozycjach czysto orkiestralnych (zwłaszcza u Rimsky’ego-Korsakowa). Pod dyrykcją Rezlera orkiestra zrobiła korzystniejsze wrażenie, rozwiązując plastycznie problemy dynamiczne i stanowiąc bardziej zwały instrument pod względem rytmicznym. Być może, że na drugim występie odbił się niekorzystnie brak dostatecznej ilości prób i chwilowa niedyspozycja dyrygenta. Najlepiej wypadły utwory Bacha i Karłowicza. Liczenie zebrana publiczność przyjmowała wykonawców nadzwyczaj życzliwie.

Z ważniejszych koncertów publicznych wymienić należy przede wszystkim recital fortepianowy Raula Koczalskiego. Powodzenie koncertu (w auli I Gimn. Państw.) było znaczne. Z lokalnych imprez wymienimy pierwszy występ miejscowej Kapeli Ludowej (z programem lekkim) oraz udany wieczór kolęd chóru „Dzwon” pod dyr. J. M. Wiecezorka.

Bardzo wolno i a mało widocznymi wynikami postępuje praca Pom. Tow. Muzycznego w Toruniu. Imprezy muzyczne przez nie organizowane są na razie w załężku, — bardzo skromne i rzadkie. A przecież organizacja ta ma na gruncie naszym i również na bliższej prowincji ogromne możliwości działania!

W bieżącym sezonie zamaria niestety całkowicie akcja szerzenia kultury muzycznej poprzez „czwartki” literacko-muzyczne KLA. Mimo początkowych zapowiedzi nie było w tym roku od jesieni jednego czwartku muzycznego. A przecież te imprezy dają wyjątkowo dobrą sposobność wejścia z muzyką żywą i słowem interpretującym między szerszą publiczność w sposób znacznie prostszy i mniej pretensjonalny niż to bywa np. na oficjalnych koncertach. Ożywiłyby one przy tym ogromnie skądinąd zresztą bardzo ciekawe i — jak ich duże powodzenie wskazuje — bardzo potrzebne wieczory czwartkowe, które jednak pewną jednostronnością tematyki i niejako „akademicką” formą odczytów mało różnią się np. od odczytów uniwersyteckich „ex cathedra”, a przecież założenia wieczorów czwartkowych pierwotnie były inne.

Leon Witkowski.



# KSIĄŻKA O POMORZU

RABSKA ZUZANNA: *Baśnie kaszubskie*. Wyd. IV uzupełnione. Bydgoszcz 1946. Nakł. „Nauka” — Pomorska Spółka Księgarska i Państwowa. 80 s. 107, nb. 2.

Dobrze się stało, że „Baśnie kaszubskie” Z. Rabskiej ukazały się w nowym wydaniu. Czytelnik polski, wobec szerokiego rozwarcia się bramy bałtyckiej w nowych granicach państwa, oczekuje z tej strony jak najwięcej wiadomości, pragnąc niejako orzeźwić się wiatrem od morza i Pomorza. Tymczasem nie wiele ma lektury do wyboru. Tematy pomorsko-morskie były i w dalszym ciągu są mało atrakcyjne dla powieściopisarzy i poetów, aczkolwiek właśnie ta część Polski zamyka w sobie największą nieodkrytą bogactwa literackiego i artystycznego.

Do tego bogactwa należą liczne na Pomorzu podania i baśnie. Rabaska, mając na względzie młodego czytelnika, wybrała z nich kilkanaście opowiadań najbardziej przemawiających do wyobraźni młodzieży w wieku szkolnym. Dodacć trzeba, że i starszy czytelnik przeczyta ten zbiór z zaciekawieniem i zadowoleniem. Najwięcej motywów dotyczy półwyspu helskiego, a więc: „O zatopionym mieście” (starym Helu), „O hełkich dzwonach”, „O ostatniej syrenie helskiej”, „O kutrze zaczarowanym”. Kilka bajek inspirowane było miast kaszubskich: Gdańsk, Puck i Karłuz. Nie brak poza tym elementu morza, rybaków i Kaszubów.

Intencja autorki jest wyraźna: zbliżyć baśniowy świat kaszubsko-morski czytelnikowi polskiemu i przez to związać go uczuciowo z tą częścią Ojczyzny. Cel ten osiąga. Szkoda tylko, że w nowym wydaniu brak pięknych ilustracji Molly Bukowskiej, które w wydaniach przedwojennych korzystnie podkreślały baśniowość treści.

Aczkolwiek pracę Z. Rabskiej witamy z wdzięcznością, jednak podkreślić musimy, iż jest ona daleka od wyczerpania możliwości literackich w tym kierunku. Rabaska jest zresztą mało oryginalna. W swym zbiorze oparła się głównie o dorobek pisarzy kaszubskich: Cenowy, Majkowskiego i Sedzickiego. Ujemnie ciąży na jej pracy okoliczność, że nie zna dobrze duszy ludu kaszubskiego. To, że np. balladą piosnką „Oj żeglarzu, żeglujże” nazywa niesłusznie „wesołą” (str. 34) nie należy do wyjątkowych potknięć, można ich bowiem wykazać pokaźną ilość, co jest dowodem, że autor musi wiele trudności pokonać przy opracowywaniu tego rodzaju tematów.

PIWARSKI KAZIMIERZ: *Dzieje Gdańska w zarysie*. Bydgoszcz 1946. Nakł. Instytut Bałtycki 80 s. VIII, 308. Prace naukowo-informacyjne. Seria: Pomorze.

Gdańsk nie miał do tej pory ze strony polskiej syntetycznego opracowania swoich dziejów. Książka Sz. Askenazego pt. „Gdańsk a Polska”, która ukazała się w okresie konferencji pokojowej po pierwszej wojnie światowej, była wyrazem potrzeb polskiej racji stanu w momencie, gdy ważyły się losy tego miasta, nosi przeto znamiona jednostronności, wypuklania pewnych wydarzeń czy nawet całych okresów na niekorzyść innych. Askenazy starał się podkreślić szczególnie momenty, wskazujące na zgodne współzycie niemieckiego (od r. 1308) Gdańska z dawną Rzplą Polską.

Książka Piwarskiego powstała w innych warunkach — w czasie wojny, w okresie pracy konspiracyjnej, jest więc niejako rachunkiem sumienia dziejowego stosunku gdańsko-polskiego. „Chcemy — pisze autor w przedmowie — spojrzeć wreszcie z całą trzeźwością na stosunek dziejowy Gdańska do Polski. Wydaje się nam, że trzeba będzie znacznie chłodniej, wyzwszy się balastu tak częstej u nas uczuciowości, spojrzeć na owe karty dziejów, na których czytamy o „wierności” Gdańska wobec Polski. Dokładniej przyjdzie się nam też przypatrzeć tym kartom, z których wyziera poprzez wszystkie obstonki wieków antagonizm

żywiu niemieckiego i polskiego. W tym świecie zapewne inaczej ocenimy cały proces dziejowy i wyciągniemy właściwe wnioski na przyszłość. W nowej Polsce Gdańsk, jako jej własność na wieki, nie może być miastem z imienia jedynie polskim, ale musi być z ducha i krwi polski — dowiański — jak nim był ongiś, przed potworną rzezią krzyżacką w roku 1308”.

Momentem dużej wagi w pracy Piwarskiego jest to, że nie ogranicza się wyłącznie do dziejów politycznych, lecz stara się równomiernie traktować także sprawy gospodarczo-społeczne oraz kulturalne, dzięki czemu obraz zyskuje na pełności. Oczywiście, w niewielkim stosunku tomi autor nie zdołał uwzględnić wszystkich zastępujących na uwagę wydarzeń, miał zresztą do pokonania olbrzymie trudności wobec braku opracowań szczegółowych.

CZEKAŃSKA MARIA DR: *Z biegiem Odry. 22 zdjęcia i 1 mapa w tekście*. Poznań 1946. Wydawnictwo Zachodnie 80 s. 132.

Praca M. Czekańskiej została nagrodzona na ogólnopolskim konkursie P.Z.Z. Po przeczytaniu książki nasunęła mi się wątpliwość, czy nagroda była słuszna, bowiem odczuwam w niej brak sprecyzowanej metody i ściśle określonego jej przeznaczenia.

Autorka, płynąc „z biegiem Odry”, pragnie czytelnikowi pokazać kolejno: Śląsk, Ziemię Lubuską i Pomorze Zachodnie. Odbywa jednakże tę podróż teoretycznie, „papierowo”, czyli opiera się na materiale książkowym, który daleki jest od dzisiejszej rzeczywistości. Przedstawia więc obraz nie ten, który jest, lecz ten, który był — za czasów niemieckich. Wprawdzie zebrane wiadomości są naogół ścisłe, a więc pozytywne, jednakże przeciętny czytelnik, dla którego publikacja jest przeznaczona, wolałby mieć przed sobą realną rzeczywistość dzisiejszą. Praca Czekańskiej dowodzi więc nieumiejętności wykorzystania i przetworzenia materiałów literatury niemieckiej dla celów aktualnych.

Część książki poświęcona Pomorzu obejmuje: opis geograficzny, zagadnienia ludnościowe, stosunki gospodarcze (rolnictwo i lasy, przemysł, źródła energetyczne), przegląd najważniejszych miast i komunikację. Przy porównaniu tej części z częścią pierwszą zauważa się, że Śląsk autorka opracowała o wiele staranniej.

Obszerny, nadzwyczaj estetyczny zewnętrznie a i w granicach naszych możliwości powojennych, również wewnętrznie (byłe lepszy papier!), zeszyt „Głosu” — zrozumiałe, jako pierwszy powojenny, przynosi przede wszystkim wspomnienia o tych, którzy odeszli. Lista (zresztą niekompletna) strat okupacyjnych, otwierająca numer daje wyobrażenie o rozmiarach naszego upływu krwi na tym jednym odcinku. Pankiewiczowi i Boznańskiej poświęcają swoje głosy J. Wolff, F. Kowarski i A. Gerzabek, tym cenniejsze, że ilustrowane szeregiem mniej lub nawet wcale nieznanymi reprodukcjami obrazów i grafik obojga mistrzów. O Ludwiku Pugecie pisze J. Puget. Stanisława Majchrzaka wspomina E. Wasilkowski. Do cennych wyników doprowadzić może rozpisana wśród fachowców ankieta na temat współpracy architektury, rzeźby i malarstwa. Pierwszy numer „Głosu” kończy szereg wypowiedzi w tej szczególnej dziedzinie, w okresie odbudowy na każdym terenie, aktualnej sprawie

O ile — po ukazaniu się „Głosu Plastyków” — można już mówić w pewnym sensie o zaspokojeniu potrzeb plastyki w zakresie wydawnictw periodycznych, to „rachunek sumienia” uczyniony na odcinku muzyki nie wypadnie niestety równie pomyślnie. Właściwie, jak dotąd, miejsce przedwojennych trzech: „Kwartalnika Muz.”, „Muzyki” i „Muzyki Polskiej” zajmuje dziś jeden uniwersalny „Ruch Muzyczny” (Poradnik Muzyczny”, „Śpiewak” i „Życie Muzyczne”, poświęcone są sprawom muzyki amatorskiej). Stąd znów ów nieunikniony wachlarz w zawartości pisma: obok studiów muzykologicznych — artykuły polemiczne na aktualne tematy dnia. Ale ażeby „Ruch” całkowicie mógł oddać się sprawie, o którą walczy wyrwale i zaciekle, problemem upowszechnienia muzyki, musiałby powstać nowy „Kwartalnik” lub miesięcznik typu „Muzyki Polskiej”. Tymczasem więc walczy samotnie, zresztą przy ogólnym uznaniu. Żywo obserwujemy sumiennie obsługiwane rubryki „Życia muzycznego w kraju”, ciesząc się z dokładnego uwzględnienia terenu Pomorza. (tylko coś ostatnio o Wybrzeżu nie nie słyhać!). Natomiast dużo luk odkrywamy w prowadzonym od grudnia „przeglądzie prasy”, dającym (pewnie z powodu trudności w otrzymywaniu wycinków) dość chaotyczny obraz o tym, co się dzieje na szpaltach pism pomorskich.

Niełatwo rozgraniczyć „kompetencje”, czy zakres zainteresowań dwu pism reprezentujących u nas dziedzinę teatru. Warszawski „Teatr” zdaje się stanowić pół-urzędowy organ centralny dla spraw teatralnych w Polsce. Obok artykułów zasadniczych, nierzadko całych studiów teatrolologicznych, i fragmentów współczesnej twórczości dramatycznej — znaleźliśmy tu stałe reprezentowany dział kronik wszystkich ośrodków teatralnych państwa. Te „Listy z regionów” dają cenną możliwość wyrobienia sobie skali porównawczej, zorientowania się w całokształcie życia teatralnego.

Krakowskie „Listy z teatru”, pismo ogromnie miłe i „czytelne” przynosi z każdym numerem nadzwyczaj różnorodny repertuar zagadnień obracających się dookoła teatru. W informowaniu o osiągnięciach scen poza-krakowskich nie ma szablonu ani ustalonej metody, niemniej musimy stwierdzić, że „Listy z teatru” dobrze pamiętają o wszystkim, co się ważniejszego na Pomorzu (Toruń) czy Wybrzeżu (u Iwo Gała) zdarzy. mit.

## OD ADMINISTRACJI.

Na skutek ogromnego wzrostu kosztów papieru i druku cenę jednego numeru naszego miesięcznika podnosimy na zł 20,—.

Od marca br. prenumerata, „Arkony” wynosi:

rocznie	200,— zł,
półrocznie	105,— zł,
kwartalnie	55,— zł.

Abonenci, którzy uścili już prenumeratę, otrzymają „Arkony” bez dopłaty. „Arkony” zaabonować można, w każdym urzędzie pocztowym, wpłacając należność na konto PKO VI-271.

Wydaje: ZESPÓŁ „ARKONY” W BYDGOSZCZY. Nadaje: KOLEGIUM. Redaktor Naczelny: MARIAN TURWID. Adres Redakcji i Administracji: Bydgoszcz, Sielanka 8. Konto bankowe: Komunalna Kasa Oszczędności miasta Bydgoszczy nr 224. PKO nr VI-271. Prenumerata i kolportaż: Spółdz. Wydawn. „Czytelnik”. Delegatura Pomorska w Bydgoszczy, ul. Jagiellońska 31. CENA 20 ZŁOTYCH. Drukarnia Polska Spółdz. Wydawn. „Zryw” z o. u., Bydgoszcz. 1737 — E-40071